

Władysław Zambrzycki
WIĘKSZA Z KROPELKAMI
Humoreski

Warszawa 1929
Towarzystwo Wydawnicze „Rój”

© Copyright by Maria Pajzderska and Henryk Babiński

© Copyright for this edition by Antykwariat Książek www.cytat.pl
Warszawa 2010

Teksty opowiadań podaliśmy możliwie wiernie, zachowując ich pośpieszny, „dziennikarski” styl. Uspółcześiliśmy i ujednoliciliśmy pisownię, korygując przy tym drobne błędy składu. Opatrzyliśmy tekst nielicznymi przypisami.

WIĘKSZA Z KROPELKAMI

Ktokolwiek miał do czynienia z żegluga na Wiśle, kto choćby raz przejechał parostatkiem do Bielan, ten nie mógł nie zauważyć starej gospody „Pod Kotwicą”, mieszczącej się na wybrzeżu obok mostu Kierbedzia. Nie ma tam jazzbandu ani tańców, nie ma kelnerek w fartuszkach, ale za to bufet mieni się wszelakimi barwami etykiet, kształtami butelek i mnogością półmisek.

W zacnym tym lokalu panował od dłuższego czasu nastrój ponury. Goście mieli miny zafrasowane, melancholia unosiła się w powietrzu, zaglądała do kątów, do kieliszków. Nawet pogodny pan Wacław, mistrz od przyrządzania większej z kropelkami, czoło miał chmurne i zdawał się unikać ludzkiego wzroku.

– I nic nie pomogło? – zagadnął jeden z bywalców, ubrany w granatową bluzę i płócienne spodnie.

– Nic – odpowiedział drugi, w trykotowej koszulce – zaklinałem go, tłumaczyłem, ale spojrzał na mnie jak na wilka i powiada: „Odejdź, człeczce doczesny i nie namawiaj pokutnika do grzechu”.

Zapanowało milczenie. Sternicy, maszyniści i przedsiębiorcy wiślani z wolna pociągali wódkę. Wszystkich pozbawił humoru niezrozumiały postępek sternika parostatku „Kujawiak”, pana Piotra Wierciołka. Człowiek ten porzucił Wisłę, porzucił gospodę, wstąpił do amerykańskiej sekty eternistów i zamieszkał z heretykami w Mokotowie. Krążyły wieści, że spędza czas na śpiewaniu hymnów oraz iż powstrzymuje się od potraw mięsnych i napojów wyskokowych. Koledzy dokładali wszelkich starań, by go nakłonić do powrotu. Pewnego razu doręczyli mu fotografię „Kujawiaka” z załogą w komplecie. Nie pomogło. Wierciołek uparł się, na listy nie odpowiadał.

– Poślemy mu pieczeń huzarską i butelkę żubrówki – z mocą oświadczył pan Wacław.

Wszyscy przyklasnęli.

W ogródku misji eternistów siedział na ławie ekssternik holownika „Kujawiak” i czytał grubą księgę. Lektura sprawiała mu pewien kłopot. Czytał powoli, starając się zrozumieć każde słowo. Doszedł właśnie do opisu potopu, co go ogromnie zainteresowało. Przypomniawszy sobie ostatni wylew Wisły. Nie mógł tylko zmiarkować, czym była poruszana arka Noego. Wiatrem czy też parą? Rozdział o upiciu się naszego praszczura oraz o drwinach jego synów bardzo pana Piotra oburzył.

– Stary był zuch – mruknął – ale chłopaków miał durnych.

Rozległ się dzwonek wzywający na obiad.

Kuchnia eternistów nie odznacza się pikanterią. Wilk rzeczony powstał od stołu głodny, ale cichy. Nawet nie zaklął. Minał ogród i podążył do swojej celi, gdzie go czekała miła i jednocześnie przykra niespodzianka.

Na oknie znalazł podrzucony koszyk z kartką tej treści: „Goście zgromadzeni w gospodzie «Pod Kotwicą» proszą pana Piotra Wierciołka, aby choć trochę łyknął za ich zdrowie, jeżeli już nie chce wrócić”. W koszyku znajdowała się butla pocziwej żubrówki z wizerunkiem trykających się rogami byków, szproty w oliwie, kilka precli i pachnąca majerankiem pieczeń huzarska zawinięta w serwetę.

Wierciołkowi pot wystąpił na czoło. Żołądek przyzwyczajony do kuchni kotwicznej zakrzyczał – gwałtu! Biedaka coś w dołku ścisnęło. Ostrożnie wyjął butelkę, obejrzał zielonkawy płyn pod światło, westchnął i schował do koszyka.

O zachodzie słońca do gospody „Pod Kotwicą” zgłosił się posłaniec miejski z koczykiem i listem od Wierciołka. Heretyk pisał: „Dobre z was chłopcy, do rany przyłożyć. Ale niech no którego złapię z żubrówką, piołunówką, gorzką, albo choćby zwyczajnym alembikiem, to spiorę na kwaśne jabłko, jak to zrobiłem z Romkiem, co mi chciał odbić Felcię z Szerokiego Dunaju...”

– Zaciał się – orzekli goście.

– Jedyna rada – przemówił stary Kościelak, senior sterników wiślanych – jedyna rada, to wziąć go na ambit.

– Na ambit? Jakże to się bierze?

– Napiszcie mu, że stracił u nas wiarę i że ja opowiadam jakoby nie umiał przeholować trzech pustych berlinek w górę rzeki, między czwartym a piątym filarem Kierbedziaka przy średniej wodzie.

Przyniesiono papier i pióro. Pan Wacław, najbardziej światowy i otrzaskany, wyraził gotowość zredagowania listu. Pisał z wolna, ostrożnie, ważąc każde słowo. Zbyteczne litery wycierał końcem palca, a kleksy usuwał językiem. Goście zaglądali mu przez ramię, dzieląc się uwagami. Każdy starał się dorzucić jakieś mocne słowo bądź zaokrąglić zdanie. W ten sposób powstał dokument, który dziś jeszcze wisi na ścianie gospody, starannie oprawiony w ramkę:

Szlachetny Panie Pietrze!

Donoszę Wam z żalnością szcyrą i serdeczną, że ten stary wyga Kościelak robi z was kapcana. Trąbi na prawo i lewo, żeście dlatego dali chodu z „Kujawiaka”, bo już kołem nie umiecie kręcić, a tym bardziej przeciągać trzech póstych berlinek między czwartym a piątym filarem nawet przy średniej wodzie i wszyscy wierzo i każdy tak myśli i jeszcze nikt nie powiedział, że należałoby w tej chwestii Wierciołka spytać. Nawet panna Felcia Kaktusówna temu nie zaprzeczyła i twierdzi, że to może być murowana prawda, boście od mgły, co była pod Zawichostem dostali rómatyku i smarowaliście sobie łydki restytucjonfluidem i ekspelerem. We wtorek rano akurat przyjdą z Wyszogrodu trzy berlinki. Prowadzi Kościelak. Powiedział, że pokaże sztukę, jakiej by Wierciołek na pewno nie potrafił.

Wacław

Na moście Kierbedzia zgromadzili się bywalcy gospody „Pod Kotwicą”. Przyjdzie czy nie przyjdzie? Oto pytanie, nad którym łamali sobie głowy.

Wierciołek przyszedł. Zwinnie wskoczył do łodzi piaskarza, wypłynął na środek Wiśły, wdrapał się na pokład „Kujawiaka” holującego berlinki i stanął przy sterze. Nie wybierał łatwiejszej drogi. Zakręcił kołem, „Jazda!” – wrzasnął do tuby i skierował parostatek między czwarty a piąty filar.

Po upływie pół godziny ukazał się na wybrzeżu. Szybkim krokiem podążył ku gospodzie, a kiedy znalazł się obok otwartego okna, wsunął głowę i huknął:

– Panie Wacław! Większa z kropelkami!

CZARNY PORTIER

Położenie było diabelnie trudne, jeżeli nie beznadziejne.

Impresario Patraszek rozplakatował na mieście afisze o przyjeździe Poxtona, zawodowego boksera ciężkiej wagi, nie upewniwszy się uprzednio co do daty. Trzeba trafu, że Murzyn ten gdzieś się zapodział i nawet agencje sportowe nie mogły go odszukać.

A tymczasem czynna od kilku dni kasa wyprzedala wszystkie bilety, zainteresowanie było ogromne i krótko mówiąc, zanosilo się na niebywały skandal.

Na turniejach amatorskich publiczność bywa względna, toleruje każdą zmianę programu. Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa z meczami zawodowców. Toteż Patraszek zdawał się być wielce przygnębiony, choć robił wysiłki, by zamaskować niepokój. Gdy widownia zaczęła napełniać się tłumem, wziął mnie na stronę i jęknął:

– Zlinczują, jak amen w pacierzu.

Po chwili dodał:

– Miałem zamiar wysmarować któregoś z zapaśników jodyną, ale to zbyt wielkie ryzyko. Sportowcy gotowi poznać się na podstępnie, a wtedy powiesiliby go niewątpliwie. To krewki naród.

– No, to sprowadź portiera z hotelu „Excelsior”. Jest czarny jak asfalt, ma potężne pięści, mógłby więc ostatecznie odegrać rolę niedysponowanego Poxtona. Murzyni są wszyscy do siebie podobni. Kto ci dowiedzie, że to nie jest Poxton?

Patraszek zerwał się z otomany. Zapalił cygaro, rzucił, znów zapalił, okrążył garderobę i wreszcie zawołał:

– To jest myśl! Wiesz, ty czasami miewasz kapitalne pomysły. Jeżeli się uda, będziemy uratowani.

– Kto pojedzie po Murzyna?

– Jedź ty. Daj mu sto złotych *a conto*. Tylko nie zapomnij rozebrać go z liberii. O, możesz wziąć moje palto i czapkę. W razie potrzeby użyj siły, a ja tymczasem puszcze na ring pierwszą parę, Sedlaczka i Weintergreena.

Wskoczyłem do samochodu. Po upływie kilku minut byłem przed hotelem „Excelsior”. W jaskrawo oświetlonym wejściu stał czarny portier wystrojony w fantastyczną liberię koloru potrawki z raków. Dzierżąc w dłoni ciężką tykę z okuciami, uśmiechał się głupkowato do dwu pokojówek, które chichotały z całego serca.

Mignąłem mu przed oczyma nowiutką stuzłotówką i pobiegłem do gabinetu dyrektora, by uczciwie załatwić transakcję. Wkrótce kolorowy obywatel wsiadł ze mną do taksówki. Zamiast liberii miał na grzbiecie solidną jesionkę. Był to, jak się okazało, poddany Republiki San Domingo, dwudziestoczteroletni Epimeteusz Balba. Władał jakimś okropnym żargonem, tak zwanym *petit negro*, który miał tę zaletę, iż stawał się zrozumiały przy pomocy odpowiedniej gestykulacji.

Patraszek wybiegł na nasze spotkanie.

– Trzeba tego draba nauczyć zasadniczych ciosów – zawołał – i niech się dzieje wola boska!

Rozebraliśmy go w mgnieniu oka. Trener nałożył mu rękawice, pantofle, trykoty i rozpoczęła się jedyna w dziejach boksu lekcja.

Na ringu kończyła się właśnie walka Ślązaka Karczmarczyka ze zwinnym Estończykiem Milnerem. W następnym numerze miał się ukazać oczekiwany przez całe miasto czempion Ameryki Północnej, Poxton.

Rzuciłem okiem na widownię. Ani jednego pustego krzesła. Na galerii też głowa przy głowie. Twarze rozgorączkowane, oczy błyszczące. Atmosfera sali naelektryzowana do najwyższego napięcia.

A w garderobie nieszczęsna ofiara komplikacji sportowych, nic nierozumiejący Epimeteusz Balba, przygotowywał się do występu pod cudzym nazwiskiem.

Skakał po pokoju, ryczał, machał rękami i nogami, wyprawiał nieprawdopodobne łańcuchy.

– Ty stać, ty tak nie skakać – strofował go Patraszek – ty tylko mocno, mocno walić w głowa.

– Daj mu spokój – odezwałem się do Patraszka – i tak wiele go nie nauczysz, a chłop już się zziątał.

Położyliśmy Murzyna na otomanie. Podszedł masażysta z gąbką i butelką octu, gdy nagle we drzwiach stanął autentyczny Jim Poxton.

– Co to za czarna małpa? – zagadnął, wskazując na portiera.

– A, jak się masz, Jim – wykrztusił Patraszek bardzo niepewnym głosem – widzisz, nie wiedzieliśmy, że dziś przyjedziesz. Ten kolorowy obywatel miał cię wyręczyć.

Poxton uniósł się okrutnym gniewem. Nigdy jeszcze nie widziałem tak bladego ze złości Murzyna. Początkowo wyraził chęć pogruchotania Balbie wszystkich kości, następnie zrezygnował z zamiaru i postanowił go udusić.

– Trzeba będzie wezwać policję, bo gotów...

– Czekaj no, czekaj – przerwał mi Patraszek – po co zaraz policja? Przecież możemy obejść się bez protokołu. Puszczę ich obu na ring pod właściwymi nazwiskami i niech się tłuką. Publiczność dawno takiej uciechy nie miała!

Jim Poxton zgodził się na ten projekt. Zakładając rękawice, zerkał ukradkiem na speszzonego portiera i mrucał:

– Zmasakruję tę czarną małpę na marmoladę, zmasakruję, zmasakruję...

– Hola, hola, nie tak prędko – pośpieszył uspokoić go Patraszek – nie wolno kończyć przed piątą rundą. Słyszysz Jim, nie wolno.

Żał mi się zrobiło biednego przedstawiciela hotelu „Excelsior”. Sięgnąłem do szafy po butelkę koniaku, przytknąłem mu do ust, mówiąc:

– Ty wypić ta ognista woda, ty nic się nie bać, ty mało skakać, a dużo, dużo bić go w głowa!

Wypił chciwie, poprosił jeszcze o jedną porcję.

Zadźwięczał gong. Publiczność powitała czarnych zapaśników entuzjastycznym brawem.

– Jim Poxton, Stany Zjednoczone! – zaanonsował menedżer.

Oklaski.

– Epimeteusz Balba, Republika San Domingo!

Nowy grzmot oklasków.

Wkroczyli w obręb ringu na czele trenerów i masażystów. Cała widownia rozbrzmiała owacjami. Wszyscy oczywiście uważali Poxtona za zwycięzcę, mimo to drugi

Murzyn wzniecał duże zainteresowanie. Patraszek kręcił się po sali wyraźnie zdenerwowany.

I znów zabrzmiały oklaski. To Poxton, zgodnie z etykietą bokserską, zbliżył się do przeciwnika, by mu uścisnąć przed spotkaniem prawicę. Balba, który o tym nie wiedział, wyskoczył z kąta i złożył się do ciosu.

– Stój, ośła głowo! – syknął trener, osadzając go na miejscu.

Pierwsze spotkanie zrobiło istną furorę. Portier rzucił się na Poxtona z takim impetem, iż ten na chwilę zupełnie osłupiał. Słysząc było tylko dzikie wrzaski: „Hu, hu!” i tępe odgłosy zadawanych ciosów. Balba walił jak w bęben, nie licząc się z teorią eleganckiej walki. Widownia szalała wprost z radości, budynek trząsł się w posadach.

Ostatecznie i Poxton stracił panowanie nad sobą. Zerwał z przepisami i jął grzmocić przeciwnika po dorożkarsku.

To nie był mecz, to była bójka! Murzyni nie zwracali uwagi na sędziego, nie zaprzestali nawet walki, gdy gong oznajmił przerwę. Tłukli się dalej z nieprawdopodobną furją. Sędzia uciekł z ringu, oznajmiając, że zrzeka się godności. Na galerii z zachwytu tupano i gwizdano. Co chwila rozlegały się okrzyki:

– Wal go! Wal go!

Zlani potem Murzyni tłukli się z niesłabnącą energią. Raptem stało się coś tak dziwnego, iż po dzień dzisiejszy zrozumieć tego nie mogę. Poxton, ten słynny Poxton zachwiał się, rozkrzyżował ramiona i jak długi runął na deski ringu. Dziki wrzask towarzyszył tej scenie. To Balba wyrażał w ten sposób radość z odniesionego zwycięstwa.

Dopiero po półgodzinnym odpoczynku Poxton mógł przemówić. Biedak desperował, była to bowiem jego pierwsza porażka. I jakże sromotna!

Na meczu tym zrobiliśmy kasę, ale za to pisma sportowe schlastały nas niemiłosiernie.

Co najciekawsze – że Balba tak zasmakował w szlachetnym fachu bokserskim, iż porzucił liberię, odbył forsowny trening pod kierunkiem Patraszka i obecnie jest jednym z najlepszych czempionów Europy.

Natomiast Poxton zupełnie zniechęcił się do boksu. Ulokował swe oszczędności w akcjach, przebrał się w stary frak Balby i został portierem hotelu „Excelsior”.

KOMENDANT MUKRI-PASZA

Ogłaszając niniejsze wspomnienia, nie przypuszczam, by mogły sprawić komukolwiek przykrość. Zależy mi zwłaszcza na utrzymaniu serdecznych stosunków z pułkownikiem Mukri, byłym komendantem radiostacji przy II Korpusie Wojsk Tureckich w Anatolii. Zaczny ten człowiek, patriota niezłomny, dał mi liczne dowody życzliwości, za które wdzięczny mu jestem i będę. Jeżeli teraz pozwalam sobie na pewną niedyskrecję, jeżeli rozwiewam legendę o Pustyni Słonej, czynię to w jak najlepszej wierze.

W roku 1921 Turcja walczyła o swe istnienie. Wyrzucona z Europy, znękana kilkuletnią wojną, na zew Khemala-Paszy zebrała resztki sił, by bronić ziemi ojców przed najeźdźcami. Grecy wdzierali się do Azji Mniejszej przez wszystkie porty. Opierając się na mętnej interpretacji traktatu wersalskiego, utworzyli w Smyrnie podstawę operacyjną. Anglia zaopatrzyła ich w sprzęt wojenny, nie zapomniawszy o samolotach i czołgach.

W gronie radiotelegrafistów, obsługujących armię turecką, znaleźli się przypadkowo dwaj Polacy: kaliszczanin Leopold Tomaszewski i ja. Los nas rozdzielił podczas przegrupowań po pierwszych potyczkach na linii Afium–Karahissar–Eskiszehir, czyli w końcu marca. Mego przyjaciela zabrano do obsługiwanego V Korpusu, a mnie pozostawiono do dyspozycji pułkownika Mukri.

Po rocznej włóczędździe znalazłem się w Teke-Kjöp, na południo-wschód od Hammam. Rzeczka Kontrandze odgrywała rolę linii strategicznej. Była dość prymitywnie umocniona z powodu braku środków technicznych.

Do połowy sierpnia mieliśmy względny spokój. Grecy nie zapuszczali się chętnie w gorzyste okolice, gdzie za każdym zrębem czyhała na nich śmierć.

Na dalszych odcinkach frontu, koło Jeni-Kjöp, Kopri Oren i nad rzeką Parsak, toczyły się zacięte walki o charakterze lokalnym.

Pobyt w Teke-Kjöp nie należał do wesołych. Prześladowała nas złośliwa febra, o jakiej Europejczycy nie mają pojęcia. Paroksyzm trwał zazwyczaj od pięciu dni do tygodnia. Po przyjsciu do przytomności budziliśmy się zwykle z opuchniętymi wargami i wysypką na twarzy. Zapasy chininy były wyczerpane. W szpitalach dawano chorym odwar z kory wierzbowej, choć w skuteczność tego specyfiku nikt nie wierzył, nie wyłączając lekarzy pułkowych.

Nie mniej ode mnie cierpiał i Lopek Tomaszewski. Z listów, które otrzymywałem dość rzadko i z dużym opóźnieniem, można było wyczuć melancholię oraz chorobliwy pociąg do alkoholu. Od kilku miesięcy nie widzieliśmy butelki. W owych czasach w sercu Anatolii panowała prohibicja wskutek surowych zarządzeń władz wojskowych. Turcy nie piją. Ale gdy taki dorwie się do wódki, to przepadł.

W drugiej połowie sierpnia Grecy zaczęli zdradzać wzdłuż naszego frontu coraz większy niepokój. Zanosilo się na poważną grę, co zresztą wyczuwałem z przyspieszonego tempa działania wszystkich radiostacji z obu stron linii bojowej. Przy aparacie nadawczym pracowało nas na zmianę czterech. Koledzy moi, bardzo grzeczni i dobrze wychowani chłopcy, byli to eksłuchacze uniwersytetów francuskich. Wojna przeszkodziła im w ukończeniu studiów.

Dwudziestego sierpnia na dworcu kolejowym w Palatly, odległym od Teke-Kjöp zaledwie o dwanaście kilometrów, wywagonowano 15. Dywizję znakomitej piechoty me-

zopotamskiej. Wspaniały żołnierz, zahartowany w walkach z Anglikami, niezłomny podczas ataku na bagnety. Sądząc z entuzjazmu, z jakim powitano tych ogorzałych herosów, można było wyczuć, że nasz odcinek tężeje i, kto wie, czy nie odegra poważniejszej roli. Istotnie, wzdłuż linii kolejowej Afium–Akszehir Grecy na gwałt koncentrowali wojska. Krążyły pogłoski, iż w najbliższej przyszłości ma nastąpić atak na nasze lewe skrzydło.

Posiłki tureckie również napływały bez przerwy. Przesunięto w okolice Palatly słynną grupę uderzeniową „Yildirim” (Błyskawica) oraz resztki korpusu ekspedycyjnego z Persji.

Zupełnie nieoczekiwanie dowiedziałem się pantoflową pocztą o nowym miejscu postoju radiostacji obsługującej V Korpus. Sztab znajdował się w Ujaz-Tepe i zdążył do Sirri-Hiszar. A więc byłem oddalony od Lopka o niecałe czterdzieści kilometrów.

Świadomość tego szczegółu, w połączeniu z poczuciem zupełnej bezsilności, działała na mnie przygnębiająco. Wiedziałem, że przyjaciel mój również łamie sobie głowę nad sposobem skomunikowania się ze mną. Na pocztę polową nie można było liczyć, albowiem wszystkie listy kierowano przez Angorę¹, gdzie bez pośpiechu, z istic wschodnią flegmą działała, czy też spała, cenzura wojskowa.

I nagle stał się cud w tej krainie cudów.

O świcie dnia dwudziestego drugiego sierpnia odwiedził naszą radiostację brodaty starzec w łachmanach. Warta nie wpuściła go na dziedziniec. Zwierzył się podoficerowi inspekcyjnemu, że przywozi przesyłkę dla telegrafisty z Lechistanu. Spałem właśnie w najlepsze, gdy zjawił się *asker*² z dobrą nowiną.

Przesyłka? Tu? Wierzyć nie mogłem, póki mi nie wręczono ciężkiego zawiniątka, omotanego starannie łykiem brzozowym. Wyczułem palcami butelki, a na kopercie poznałem rękę Lopka Tomaszewskiego. Posłaniec mrugnął poufale, dając mi do zrozumienia, że wie, o co chodzi, i liczy na suty napiwek. Oczywiście zawód go nie spotkał.

„Kochany przyjacielu – pisał Lopek – posyłam ci dwadzieścia pięć gramów chininy i sześć butelek dobrego koniaku. Jeżeli twa dolna warga bywa podobna do mojej, to radzę, nie zwlekaj z kuracją...”

Zastosowałem się do wskazówek Lopka. Kurację zacząłem od koniaku. W owym pamiętnym dniu antena zaświergotała radośnie, zdradzając dawno niespotykany temperament. Dziwił się temu mój mistrz ukochany, pułkownik Mukri-Pasza, i kilkakrotnie zaglądał do kabiny.

Koniak był znakomity. Odkorkowaną butelkę umieściłem w cholewie buta (z powodu upałów przesiadywaliśmy boso) i mniej więcej w odstępach półgodzinnych pociągałem jak niemowlę ze smoczka.

A kiedy dyżur dobiegał końca, czułem, jak kula ziemską wiruje mi pod nogami. Mimo to nadałem sprawnie kilkanaście depeesz szyfrowanych i korzystając z dłuższej przerwy, zająłem się drugą butelką. Znienacka przyszedł mi do głowy szalony pomysł. A gdyby tak podziękować Lopkowi przez radio?

Po chwili alfabet Morse’a rozniósł po froncie grecko-tureckim depezę polską tej treści: „Hurra! Lopek, gorzałka wyborna! Twoje zdrowie!”

¹ Dawna nazwa Ankary.

² Żołnierz – *tur*.

Skutki tego nierozważnego kroku były okropne. Depeszę przejęły wszystkie radiostacje z obu stron linii bojowej. W sztabach zapanowało zamieszanie, nikt bowiem nie mógł odcyfrować tajemniczych znaków. Najtężsi kryptografowie próżno łamali sobie głowy. O autorstwo Grecy podejrzewali Turków, a Turcy Greków.

Ostatecznie dowódca II Korpusu, generał Reszyd-Pasza, wywnioskował, iż jest to sygnał nieprzyjacielski zwiastujący początek ofensywy na Teke-Kjöj. Chcąc uprzedzić zamiary wrogów, zarządził natychmiastowy wypad przez Pustynię Słoną na skraju lewego skrzydła.

Niestety, historycznego wymarszu piechoty mezopotamskiej nie było mi sądzone oglądać. Gdy opuszczałem radiostację, pułkownik Mukri obejrzał mnie surowym wzrokiem od stóp do głów i zawołał:

- *Sapristi! Mais vous êtes joliment sôul!*
- *Oui, mon colonel* – odpowiedziałem szczerze.
- *Passez au cachot!*¹

Nie było rady. Zameldowałem się w areszcie. Zamknięto mnie we wspólnej celi z jakimś Arabem, który drapał się bez przerwy. Z oddali, przez zakratowane okienko, dolaływały odgłosy wrzawy obozowej, warkot samolotów i ciężki turkot polówek po wyboistym bruku.

Reszyd-Pasza nie żartował.

O świcie usłyszałem kanonadę, a chwilę potem wartownik oznajmił mi z tajemniczą miną, że dzieje się coś „wielkiego”. Nie rozumiałem, co zaszło, ani też nie mogłem domyślać się związku między pijaną depeszą a ruchem wojsk tureckich. Sumienie więc miałem względnie czyste i spokojnie znosiłem karę.

Przesiedziałem w areszcie półtorej doby. Zmrok już zapadał, gdy na korytarzu rozległy się kroki. Do celi wszedł Mukri-Pasza. Zerwałem się na równe nogi.

Jednak twarz mego zwierzchnika nie wróżyła nic złego. Spojrzał na mnie roześmianymi oczyma.

- *Mon ami*², dość tego próżnowania – rzekł, ujmując mnie pod ramię.
- Ależ, mój pułkowniku, wlepiono mi pięć dni paki.
- Odsiedzisz po skończonej ofensywie. Teraz nie ma czasu. Idziemy naprzód.

Tejże nocy przesunęliśmy się z radiostacją do Inler-Kartrandzi. Reszyd-Pasza, oskrzydliwszy Greków od wschodu, pędził ich teraz przed sobą jak stado baranów. O przebiegu walki dowiadaliśmy się chaotycznie z przejeżdżających ambulansów. Z depesz nic nie można było wywnioskować, wszyscy wiedzieli jednak, że dzieją się rzeczy ogromnej wagi.

Dwudziestego szóstego sierpnia wojska otomańskie zdobyły umocnione wzgórze Yappam-Hamam, co zdecydowało o ostatecznej klęsce Greków. Musieli porzucić wygodne pozycje nad Sakkarią. Zatrzymali się po paru dniach bezładnej ucieczki na linii Gemlik-Billedżik.

Dopiero wtedy personel naszej radiostacji mógł pomyśleć o dobrze zasłużonym spoczynku. Staliśmy na pagórkach porośniętych wrzosem. Piękna ta roślina przewyższa europejskie nie tylko rozmiarami, ale i kwiatem, który naprawdę pachnie.

¹ Do licha! Nieźleś się pan upił! – Tak, mój pułkowniku [...]. – Marsz do karceru! – *franc.*

² Przyjacielu – *franc.*

Pewnej nocy, brodząc po pas we wrzosowisku, usłyszałem tęskne dźwięki piszczałki. Przypomniła mi się wieś polska. Ostrożnie, bez szelestu, posunąłem się kilka kroków i stanąłem zdziwiony.

Pod karłowatym krzewem odbywało się misterium. Pułkownik Mukri, skuliwszy nogi, siedział z odrzuconą w tył głową. Oczy miał wlepione w tarczę księżycy, do ust przyciskał fujarkę. Wielbił Boga, wielbił gwiazdy na niebie, wielbił jaskrawą drogę mleczną.

Cofnąłem się, tamując dech w piersiach.

Długo jeszcze tej nocy śpiewała fujarka. Dopiero, gdy księżyc znikł za widnokretem, pułkownik wrócił do obozu. Wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, jak bardzo go kocham.

Dziesiątego września wypędzono Greków z Anatolii. W początkach października kupiłem sobie w Brussie cywilne ubranie i pojechałem do Mudanii, by pożegnać się z pułkownikiem. Miałem zamiar opowiedzieć o depešy, lecz zbrakło odwagi. Zbyt serdecznie mnie przyjął. Takich chwil nie wolno zakłócać.

Opowieść niniejszą, przełożoną bez żadnych zmian na język francuski, wysłałem do Komisariatu Obrony Narodowej w Angorze z prośbą o doręczenie pułkownikowi Mukri.

GARDEN PARTY

Bardzo był strapiony pan redaktor „Raportu Wieczornego”. Współpracownicy poro-
zjeżdżali się na urlopy, nieliczny personel nie mógł podolać nawałowi obowiązków,
w podziale zajęć panował trudny do opisanego zamęt. Na przykład rubrykę „Z buduaru
pięknej kobiety” prowadził referent sportowy, a znawca stosunków dyplomatycznych
tracił czas na łamanie numeru. Typowe ogórki.

W willach podmiejskich odbywają się eleganckie przyjęcia, a tu jak na złość nie ma
kogo posłać. Redaktor otarł pot z czoła, puścił w ruch śmigło wentylatora elektrycznego
i zawołał:

– Franuś!

We drzwiach ukazała się zamorusana twarz gońca. Na pierwszy rzut oka łatwo było
poznać, że młodzieniec ten bardziej interesuje się grą w klipę niż posadą.

– Poproś pana Rożenka.

Przed biurkiem stanął młody człowiek w sportowym ubraniu, utalentowany reporter
od pożarów, popularny Rożenek.

– Otóż, panie kolego – przemówił redaktor – musi pan zastąpić Gromskiego. Wiem,
że opisy przyjęć w sferach arystokratycznych nie są pańską specjalnością, ale przy odro-
binie dobrej woli, w połączeniu z pańskimi zdolnościami, mam nadzieję, wywiąże się
pan znakomicie z zadania. Niech pan uważnie przejrzy recenzje Gromskiego. Trzeba
wczuć się w wykwinny styl, w eleganckie zwroty. Pani Mila obezna pana z terminolo-
gią dotyczącą strojów kobiecych, jako to: *crêpe de Chine*, *crêpe Georgette* itp. W jadło-
spisie pierwszej lepszej restauracji znajdzie pan nazwy wytwornych potraw... Co panu
się stało?

– Bo... bo...

– Aha! I na to znajdziemy radę. Niech pan idzie do magazynu z gotową konfekcją
męską i wybierze sobie smoking na rachunek redakcji. Do fraka jeszcze pan nie dorósł.
Cóż tam więcej? Lakierki, koszula z gorsem, krawat, jedwabna chusteczka, wszystko
panu zafundujemy. Niech się pan tylko postara o wstęp do eleganckiego świata, w tym
już pańska głowa. A przy pisaniu recenzji proszę nie poplątać terminów obcojęzycz-
nych.

Młody dziennikarz skłonił się i wyszedł.

Gdy zabrzmiał trąbka strażacka, reporter nie traci ani chwili, łapie dorożkę lub redak-
cyjne auto i pędzi na złamanie karku.

Przyzwyczajony do pośpiechu, Rożenek błyskawicznie załatwił się z otrzymanym
zleceniem. Tegoż wieczoru zrobił wywiad, a o drugiej w nocy przyniósł do redakcji go-
towe wypracowanie.

W zamieszaniu sekretarz rzucił tylko okiem na rękopis. Nie przeczytawszy tytułu,
oddał do składania, przypuszczając, iż jest to sprawozdanie z jakiegoś pożaru.

O szóstej rano ukazał się na ulicach Warszawy numer dziennika, w którym można
było podziwiać następującą recenzję:

GARDEN PARTY

(Od specjalnego sprawozdawcy)

W dniu wczorajszym, o godz. 8 min. 20 wieczorem, przechodnie zdążający ulicą Czerniakow-
ską usłyszeli krzyki dolatujące z okien czteropiętrowej kamienicy, znanej pod mianem „Tonkinu”.

Hałas, który zaalarmował przechodniów, był właściwie objawem dobrego humoru solenizanta, p. Sikawskiego, i zaproszonych biesiadników.

Liczne grono składało się przeważnie z funkcjonariuszów straży ogniowej, a ozdobą towarzystwa był książę pełnej krwi, obywatel republiki Transkaukaskiej, p. Chapadze-ter-Aszabakwili, słynny mandolinista i brunet, piękny młodzian o tropikalnym spojrzeniu, pod którego działaniem nasze panny płoną jak beczki ze smołą.

Wśród wykwitnych potraw musimy wymienić:

Filet sauté, fil d'Ecosse, fil de Perse, crêpe de Chine, crème-Simon i piwo od Haberbuscha. Wódek i likierów było bez liku, bowiem każdy z gości przyniósł ze sobą butelkę, a największym uznaniem cieszyły się poznańskie: znakomity „Pan Zagłoba” i przednia żołądkowa „Waćpanna”.

Po skończonej libacji całe towarzystwo przeniosło się do ogrodu owocowego, będącego przedłużeniem podwórka. Tam, na zielonej murawie, przy srebrnym świetle księżycy, panowie rozpoczęli *garden party* grą w „oko”. Szczęście sprzyjało p. Sikawskiemu, który nie tylko wrócił sobie koszta przyjęcia, ale nawet porządnie zarobił.

Niestety w czasie partii zaszedł między graczami smutny incydent, załagodzony na szczęście polubownie. Nasz współpracownik zapytał księcia Chapadze – co o tym myśli?

– *Nekharaszo*, dusza mój, *nekharaszo!* – odpowiedział książę i zasiadł z mandoliną w gronie pań, spragnionych melodii.

Wśród toalet na pierwszy plan wysuwa się kostium uroczej panny Perełki. Spódniczka *vol au vent*, ażurowe pończoszki, dekolt ucharakteryzowany cieniutką koronką, pozostałości i okoliczności – palce lizać!

Kostium panny Gzisi też wzbudził ogólny zachwyt. Nasz sprawozdawca zapytał księcia Chapadze – co o tym myśli?

– *Kharaszo*, dusza mój, *kharaszo* – odpowiedział książę i przestał brzdąkać na mandolinie.

Miłe to *garden party* pozostawi w pamięci wszystkich biesiadników niezatarte wrażenie i długo jeszcze wspominać je będziemy.

Gdy numer wyszedł spod prasy, redaktor zerwał się z krzesła, ryknął i złapał się za głowę. Ale już było za późno. Maszyna warczała.

Niefortunny reporter wrócił do poprzedniego zajęcia – specjalisty od pożarów. Pozostał mu jedynie smoking.

STRASZNA NOC

W redakcji „Raportu Wieczornego” praca dobiegała końca. Kolumny były przełamane, na maszynie przewijano papier, dziennikarze opuszczali lokal grupami, śpiesząc do restauracji na dobrze zasłużony posiłek.

Redaktor naczelny wezwał do gabinetu reportera Rozenka, poczęstował go papierosem i starannie zamknął drzwi na klucz.

– Znam pańską dyskrecję – przemówił – i dlatego pana, a nie kogo innego wybrałem do delikatnej misji.

Przypomniawszy sobie nieudany wywiad, Rozenek bąknął nieśmiało:

– Ale, ale, już chyba nie w eleganckim świecie?

– Wprost przeciwnie. Zniży się pan do dna wielkomięskiej nędzy, spędzi pan noc w przytułku dla włóczęgów. Zależy mi na tym, ponieważ dowiedziałem się, iż „Echo Wieczorne” zamierza wystąpić z podobną sensacją. Musisz pan dziś jeszcze przebrać się za apasza i, nie później jak o godzinie dziesiątej, zapukać do bramy domu noclegowego. Dla pewności weź pan ze sobą rewolwer. Butelka koniaku też się przyda, na wypadek, gdybyś pan stracił panowanie nad nerwami. Życzę panu powodzenia. Oto pięćdziesiąt złotych zaliczki.

Rozenek skłonił się i wyszedł.

Nazajutrz ukazało się w dzienniku sensacyjne sprawozdanie:

W KRÓLESTWIE NĘDZY I ZBRODNI

Mam więc spędzić długie osiem godzin w przytułku noclegowym! Niepewność targa mą duszą, serce kołacze jak młot, wszystkie nerwy wyczuwają śmiertelną grozę.

Oczywiście nie jestem już sobą. W kieszeni mam pożyczone dokumenty, a ciało me zdobi kostium apasza. Całe szczęście, że znalazłem wszystko, co było potrzebne w rekwizytorni teatralnej. Chodzę jak apasz, czuję jak apasz i myślę jak apasz. Znajomi mijają mnie obojętnie. Nikt nie uchylił kapelusza. Spoglądają nieufnie, nawet wrogo. I ja na nich patrzę jak na istoty obce mi zupełnie. Nic mnie już z nimi nie łączy.

Podchodzę, pukam. Czarne jak smoła oczy świdrują natrętnie. Wyciągam zbrukaną książeczkę. Czarne oczy przerzucają kartkę po kartce. Słyszę pytanie: „Czy aby ten dokument jest autentyczny?”. Mówię: „Tak”. Indagacja nieskończona. Odpowiadam jeszcze na kilka pytań, wreszcie dostaję pozwolenie wejścia. „Pierwsze drzwi na lewo!” – woła ktoś za mną. Machinalnie skręcam i staję osłupiały.

Szereg prycz drewnianych. Wszystkie pokryte apaszami. Niektórzy grają w trzy karty, inni w oko, jakiś stary, siwobrody apasz odmawia pacierz, drugi ceruje podartą garderobę.

Dreszcz mnie przenika. O znalezieniu miejsca mowy już być nie może. Widzę pod ścianą apasza w kostiumie podobnym do mojego. Podchodzę doń i, hamując wzruszenie, przemawiam:

– Jak się masz, cwaniaku, czy zrobiłeś dziś jakiego frajera?

Przeszył mnie podejrzliwym wzrokiem, lecz widocznie poczuł zaufanie, bowiem odrzekł:

– Coraz trudniej zarobić na butelkę wódki.

Należało korzystać z dobrej koniunktury. Wyciągnąłem z kieszeni koniak, odkorkowałem i podając apaszowi, syknąłem:

– Pij, to kradzione. Przed dwiema godzinami zrobiłem podkop pod sklep kolonialny.

Przyłożył do ust butelkę, wypił kilka łyków, po czym spytał:

– Jakże ty zrobiłeś ten podkop?

– Zwyczajnie – odrzekłem. – Wślizgnąłem się do piwnicy, wyborowałem w suficie dziurę i wyniosłem dwie skrzynki najlepszego koniaku. Smakuje ci?

Skinął głową. Czułem, że moje zwierzenia bardzo go interesują i poniekąd wzbudzają szacunek.

– I nikt cię nie gonił? – zagadnął.

– Owszem – mówię mu – gonił mnie dozorca. Ale go złapałem wpół, powaliłem, przygniotłem kolanami, palce wpiłem mu w tchawicę i póty nie puszczałem, póki nie skonał. Zimny trup pozostał przed sklepem, a ja czym prędzej uciekłem do meliny, sprzedałem paserowi łupy i oto tu jestem.

Zauważyłem, że mój rozmówca jest silnie wzruszony. Sięgnął po chusteczkę, otarł pot z czoła i wyszeptał:

– Czy dużo w swym życiu nazabijałeś ludzi?

– Ha, czy to można spałiętać – westchnąłem, wyjmując z kieszeni brauninga – patrz, ta spluwa mogłaby ci opowiedzieć niejedną historię.

Z tymi słowy błysnąłem mu lufą przed oczyma. Widocznie wziął mnie za nieprzeciętnego zbrodniarza, gdyż ustąpił mi miejsca na pryczy, nakrył mnie własnym paltem i całą noc czuwał u wezłgłowia, bacząc, by jaka pluskwa nie siadła mi na twarzy. O świcie dotknął ostrożnie mego ramienia, mówiąc:

– Bracie, już słońce wschodzi. Opuśćmy ten dom.

Zgodziłem się chętnie. Przed przytułkiem uściskał mi dłoń, podarował na pamiątkę pięć złotych i szybko wskoczył do tramwaju.

Reasumując wyżej powiedziane, dochodzę do wniosku, iż w najtrudniejszej sytuacji można sobie dać radę przy odrobinie taktu, odwagi i przytomności umysłu. Człowiek, z którym miałem do czynienia w przytułku, jest niewątpliwie na wskroś zepsuty, a jednak dał mi dowody życzliwości, jakiej nigdy nie spodziewałem się tam znaleźć.

Sensacyjny ten artykuł ukazał się na pierwszej stronie „Raportu Wieczornego”. Redaktor zacierał ręce z radości, przypuszczając, iż pobił na głowę konkurenta.

Tymczasem tegoż dnia „Echo Wieczne” zamieściło nie mniej fascynujące sprawozdanie:

OKO W OKO Z KRWAWYM BANDYTĄ

Stosownie do otrzymanych instrukcji, na pięć minut przed otwarciem przytułku, stanąłem pod bramą. Byłem jednym z pierwszych, toteż dano mi miejsce względnie wygodne, pod ścianą, na czystej, szerokiej pryczy.

Z wolna przytułek zaczął zapełniać się tłumem włóczęgów. Byli to przeważnie wykolejeńcy bez dachu nad głową, bez celu w życiu, bez krewnych i przyjaciół. Tego rodzaju typy spotyka się dość często na przedmieściach, przed halami miejskimi oraz na brzegu Wisły. Ponieważ do zgaszenia światła pozostawała jeszcze godzina, niektórzy z nich zajęli się stawianiem pasjansów, naprawą garderoby, inni znów, klęcząc, odmawiali pacierze.

Szczerze żał mi było tych biedaków. Mój kostium, muszę się przyznać, zupełnie nie licował z otoczeniem. Oglądano mnie starannie, nikt jednak nie przemówił słowem.

O dziesiątej wieczorem wkroczył do sypialni człowiek, na którego widok wstrząsnęły mym ciałem dreszcze. Z najwyższym wysiłkiem opanowałem wzruszenie i, udając obojętność, zerknąłem z ukosa na gościa. Był to apasz, najprawdziwszy apasz w trykotowej koszulce, lakierkach, czapce sportowej i jedwabnym szaliku, zawiązanym z fantazją pod szyją. Rozejrzał się, po czym bez namysłu skierował kroki w moją stronę.

Czytelnicy, wyobraźcie sobie, co działo się w duszy piszącego te słowa! Apasz podszedł, podał mi rękę i przemówił: „Jak się masz, brachu, czy obrobiłeś dziś jakiego frajera?”. Dech zamarł mi w piersiach, serce kołatało jak młotem. „Ciężkie czasy – bąknąłem – człowiek nawet na wódkę zarobić nie może”.

Wtedy sięgnął do kieszeni, wyjął butelkę najprzedniejszego koniaku, odkorkował i rzekł, podając uprzejmie: „Pij, to kradzione!”.

Podczas gdy z wolna, łyk za łykiem, pociągałem z butelki, apasz opowiedział historię, od której włosy stanęły mi dęba na głowie.

Zbrodniarz ten przed godziną dokonał włamania do składu delikatesów, skradł dwie skrzynki koniaku, a dozorcę, który go ścigał, własnoręcznie udusił.

Spojrzałem na jego dłonie. Nie były to zwykłe kończyny, jak u innych ludzi, lecz szpony drapieżnego zwierzęcia. Krótkie, płaskie palce zakończone brudnymi pazurami nasunęły mi na myśl plastyczny obraz mordy.

Szpony tego oto zbrodniarza wpijają się w krtań dozorecy, cisną coraz mocniej, dławią, wstrzymują dopływ krwi i powietrza. Nieszczęśliwy rzuca się w konwulsyjnych drgawkach, butami drapie chodnik, ręce wpija w twarde kamienie, ostatnim przebłyskiem świadomości wspomina żonę, dzieci, by po chwili stać się już zimnym, niewiele wartym trupem.

Ach, straszna wizja mordowanego człowieka! Czyż mogłem, po wysłuchaniu takiej opowieści, marzyć o przymrużeniu powiek? Miejsce na pryczy ustąpiłem apaszowi, z czego skwapliwie skorzystał. Zapraszał mnie nawet, bym wraz z nim podzielił łożo, lecz odmówiłem. Zapytuję, czy znalazłby się śmiałek, który by zechciał leć obok plugawej bestii na wskroś przepojonej alkoholem? Czy odważyłby się wchłaniać jego zatruty oddech, dotykać szat cuchnących? Nie, to było ponad moje siły.

Siadłem na rogu pryczy, przykryłem degenerata paltem i długo jeszcze słuchałem jego okropnej spowiedzi.

– Ta splanuwa – mówił, bawiąc się rewolwerem – mogłaby ci zaśpiewać niejedną piosenkę.

Przy tych słowach twarz krwawego zbira wykrzywiła się w szatańskim uśmiechu. Około północy ucichł, przymknął oczy i pogrążył się w sen niespokojny, charakterystyczny dla istot o zbrukanym sumieniu. Co chwila jęczał, wzdychał, niemiłosiernie drapał się w rozczochraną głowę, a z ust ściekała mu ślina, jak u psa wściekłego.

O wschodzie słońca w przytułku zawrzało. Lokatorowie pozrywali się ze snu. Obudziłem też mego kompana, gdyż zależało mi na utrzymaniu dobrych stosunków do ostatniej chwili. Zwrócił mi palto bez sprzeciwu, uczesał się, poprawił szalik.

Wyszliśmy na ulicę. Dałem mu pięć złotych odczepnego i wskoczyłem do przejeżdżającego tramwaju.

Tak się skończyła moja noc w przytułku dla włóczęgów.

Po uważnym przeczytaniu obu sprawozdań, redaktor „Raportu Wieczornego” wpadł w niebywałą pasję. Nazwał Rożenka bałwanem, cofnął mu gratyfikację, po czym oznajmił, że takiego osła jak żyje nie spotkał.

Biedny Rożenek pobiegł do swych przyjaciół strażaków i upił się z rozpacz.

SPOWIEDŹ PODPALACZA

Od dłuższego czasu krążą po Warszawie pogłoski, jakoby jeden z literatów był sprawcą katastrofy na rynku w Kołomyi.

Ponieważ jestem zamieszany w tę przykrą sprawę, śpieszę ze szczerym wyjaśnieniem, które winno położyć kres bezsensownym plotkom.

Mniej więcej przed rokiem waga automatyczna na Dworcu Głównym zadecydowała o moim wyjeździe do Kosowa, gdzie miałem poddać się kuracji odchudzającej.

Po zawitaniu do Kołomyi spożyłem obiad w bufecie stacyjnym, przy czym zawarłem znajomość z przemitym turystą, powieściopisarzem Wacławem F-wskim, który właśnie skończył głodówkę w Kosowie i, ledwo włócząc nogami, wracał do ukochanego miasta. Przed rozstaniem zamieniliśmy bilety wizytowe, życząc sobie nawzajem zdrowia i pomyślności.

Tragarz poinformował mnie, iż z powodu szabasu autobus odejdzie dopiero naza jutrz rano. Musiałem przenocować w hotelu.

Ktoś złośliwy wyraził się o Kołomyi, jakoby jedyną osobliwością tego grodu był zegar ratuszowy. Podobno za panowania Jana Kazimierza na wskazówce usiadła sroka i dlatego mechanizm spóźnia się o dwadzieścia minut.

Stwierdziłem, iż oprócz ratusza Kołomyja posiada kiosk z gazetami, studnię artezyjską, fabrykę staropolskiego miodu oraz wielką skrzynię drewnianą na odpadki. Pogoda była ładna. Biegały niefrasobliwe kozy, becząc, skubiąc trawę i ogryzając drzewka.

Ostatni dzień wolności. Jutro, być może, nie dostanę obiadu. Żywić się będę własnym tłuszczem, nagromadzonym na sercu, wątrobie, na mięśniach i szkielecie. Wezmą mnie w obroty lekarze, hydropaci, masażyści.

Postanowiłem tymczasem niczego sobie nie żałować. Po kolacji zagadnałem portiera:

– Czy jest tu u was jakiś teatrzyk albo ogródek?

– Przede wszystkim – odrzekł – pan dobrodziej będzie łaskaw podać mi swe imię i nazwisko, a potem zaprowadzę pana do kabaretu „Pod zieloną gwiazdą”.

Wręczyłem mu bilet wizytowy. Wpisał nazwisko do księgi hotelowej, zwrócił mi wizytówkę i wskazał drogę.

W towarzystwie pięknej brunetki wypłem kilka butelek wina przemycanego z Rumunii. Co działo się dalej, trudno obecnie ustalić. Wiem, że z pieśnią na ustach chodziłem po rynku, w oczach migotał mi wielki płomień, słyszałem trąbki, płacz niewiast, rozpaczne wycie psów. Widziałem ludzi w hełmach miedzianych z toporami u pasów, sikawki. Odróżniłem wreszcie portiera hotelowego. Przerażony staruszek krzyczał mi coś do ucha i żywo gestykułował. Nic jednak nie zrozumiałem. Pamiętam tylko, że zaprowadził mnie do hotelu, rozebrał i umieścił w łóżku.

O dziewiątej rano obudziło mnie gwałtowne kołatanie.

– Proszę! – zawołałem z wysiłkiem.

Na progu ukazał się jakiś dryblas z teczką pod pachą. Zajrzał, cofnął się ostrożnie i krzyknął przez szparę:

– Pan burmistrz czeka!

Po obmyciu się zimną wodą wytrzeźwiałem o tyle, iż mogłem udać się na własnych nogach do magistratu. Burmistrz przeszył mnie ponurym spojrzeniem. Na pytanie – czym mogę służyć, uśmiechnął się kwaśno i oświadczył, iż dziwi go mój tupet.

– Niechże pan przynajmniej nie udaje niewiniątka – dodał. – Wyrządziłeś pan naszemu miastu wielką krzywdę przez spalenie magistrackiej paki.

– Ja?

– Chyba nie ja! W protokole kazałem zaznaczyć, że pożar powstał od niebacznie wrzuconego niedopałka. Ale to pana bynajmniej nie tłumaczy przed społeczeństwem. Kto urządza w obcym mieście takie brewerie, ten powinien mieć śmiałość przyznać się do winy i ponieść wszelkie konsekwencje. Wśród obywateli, w związku z katastrofą, daje się odczuć groźny ferment. Wszystkie psy z Kołomyi i okolic znajdowały w tej pace bezpłatną strawę. I cóż teraz poczną biedne zwierzątka? Odszkodowanie ściągniemy drogą urzędową, po oszacowaniu strat na walnym zebraniu Rady Miejskiej. Tymczasem żegnam pana oziębło.

Wróciłem do Warszawy smutny, zgorzkniały i zakłopotany. Jednak minęło pół roku, a wezwania do pokrycia strat nie otrzymałem.

Pewnego razu, siedząc w cukierni nad czarną kawą, mimowolnie podsłuchałem cudzą rozmowę.

– Czy wiecie – opowiadał znany artysta malarz – że Wackowi przysłano z Kołomyi papier z żądaniem zapłacenia osiemdziesięciu ośmiu złotych za podpalenie magistrackiej paki do śmieci? I kto by to się spodziewał czegoś podobnego po takim spokojnym człowieku...

Niezwykłą wiadomość komentowano na wszelkie sposoby, wobec czego uznałem za stosowne wmieszać się do rozmowy.

– Podpalaczem jestem ja – oświadczyłem – i proszę przyjąć do wiadomości, że człowiek, o którym mówicie, nie odegrał w tej katastrofie żadnej roli.

Wśród grobowej ciszy opowiedziałem przebieg wypadków.

– Dobrze, lecz dlaczego podejrzenie padło na Wacka? – zagadnął malarz.

– Bardzo proste – odrzekłem – gdyż portier hotelowy zameldował mnie pod jego nazwiskiem. Zamiast własnego biletu wizytowego, dałem mu bilet otrzymany na stacji kolejowej. Portier spełnił obowiązek, spełniła Rada Miejska, spełnię i ja, co do mnie należy.

Po wyjściu z kawiarni odwiedziłem pocztę, wysłałem osiemdziesiąt osiem złotych przekazem do Kołomyi, przeprosiłem Wacława F-wskiego i napisałem niniejsze zeznanie.

PIETER SLUYT I DWAJ JEGO MISTRZE

Dwudziestego trzeciego sierpnia 1438 roku miasto Haarlem przygotowało szereg świetnych uroczystości ku czci świętego Krzysztofa, albowiem był to dzień imienin znanego z cnót licznych burmistrza pana Christophorusa van Kapeele.

Kto żyw – śpieszył do oberży. Pili wszyscy: notable grodu, mieszczenie, przyjezdni i tkacze okolicznych warsztatów dostarczających płócien królom francuskim. Podążali do szynków ogrodnicy, śpieszyła brać rybacka znad pobliskich jezior, uczniowie szkół malarskich z profesorami, zawsze spragnieni napojów wysokowych, zawsze chętni do przyjęcia poczęstunku.

Pito dzielnie, albowiem szanowano pana burmistrza. Raczone się w przerwach między uroczystościami, ale byli i tacy, którzy rezygnowali z widowisk i pili bez wytchnienia.

Tak bawiła się Flandria, bogata, szczęśliwa Flandria u schyłku średniowiecza. Największym powodzeniem cieszyły się piwa krajowe, przyrządzane bez drożdży i chmielu. A więc mętny i kwaskowaty jack-op z Lowanium, usuwający złe humory, dalej mocne faro z Gandawy, fermentujące w cieple tak sprężyście, iż częstokroć fiolka gliniana pękała z hałasem, obryzgując ściany lepką cieczą. Plebs zadawał się piwem „dzia-dowskim” z Kortrajku, tanim i – co najważniejsze – oszałamiającym szybciej od innych.

W domach magnatów podawano na ucztach wino. Gdy jednak goście dobrze sobie podpili, następował przełom, szczerłość triumfowała i powracano do ulubionego piwa.

W tym dniu pamiętnym postanowił również upić się pan Pieter Sluyt, uczeń Wawrzyńca Costera, właściciela jedyne w Haarlemie handlu książkami, które jeszcze podówczas przepisywano ręcznie. Księgarz, zwany popularnie Janszoon, ponieważ był synem Jana, miał w swej pracowni sześciu skrybów. Pożałowania godni ci ludzie dzień cały kaligrafowali za dyktandem.

Sam mistrz prowadził tryb życia wysoce nienormalny. Sklepu i pomocników pilnowała mu córka imieniem Katie, on zaś spał do południa. Za to w nocy płonęła w jego pokoju jasna lampa. Nie słysząc gwaru miejskiego, mógł oddawać się tajemniczemu praktykom, o których różnie w mieście mówiono.

Noc ostatnią spędził Wawrzyniec Coster przy warsztacie rytowniczym. Ze skrzyni pełnej czworograniastych kawałków drewna bukowego wybierał okazy najdoskonalsze, bez skaz i pęknięć, a następnie, posiłkując się dłutem, rył na ich ściankach wypukłe znaki alfabetu.

Żartowali ze starego mistrza skrybowie, nie śmiał się jednak Pieter Sluyt, zbyt ciekawy i pojętny, by nie zrozumieć, na co się zanosi. Nie tylko wiedział, gdzie są schowane słupki z literami, ale zdobył nawet parę egzemplarzy i ukrył je pod spróchniałym progiem domostwa.

A więc w dniu imienin głowy miasta Sluyt postanowił się upić. Piękne te zamiary mogły spełznąć na niczym, ponieważ nie miał ani tynfa, a wszak marnemu pisarczykowi nikt nie udzielił kredytu.

W ponurym nastroju ducha udał się na Kerkenstraat, żywiąc nadzieję, że może spotka tam hojnego kompana.

Trzeba trafu, iż o tej samej porze wyszedł z domu słynny hulaka, pan rotmeester Jeff Vanderwecke, pozostający na dość skąpym żołdzie hrabiów Flandrii. I on czuł pragnienie, i nie mniej tęsknym okiem wypatrywał takiego, który by zechciał zań zapłacić.

Spotkali się przed wejściem do oberży „Aan de blouwe lantern”. Kto by nie umiał przeczytać napisu na szyldzie, tego zapraszała niebieska latarnia, kołysząca się nad drzwiami.

Rotmistrz i pisarz stosowali w nagłych wypadkach jednakową taktykę. Niemal więc jednocześnie przybrali radosny wyraz twarzy, rozwarli ramiona i uścisnęli się serdecznie. Po takim powitaniu nie pozostawało nic innego jak wejść do gospody, mrugnąć popufale na jedną z dziewczek i zamówić ucztę. Obaj starali się być jak najprzyjemniejsi w rozmowie, by zachęcić kompana do rozrzutności.

Wieczera była wspaniała. Gospodarz, widząc przed sobą odświętnie wystrojonych gości i radosne ich oblicza, nie szczędził wysiłków i osobiście usługiwał przy stole.

Dzielny rotmistrz zamawiał dania, wybierał trunki. Na lnianej serwecie stanęły wyśmienite małże, gotowane w sosie pietruszkowym, ostrygi z ujścia Skaldy, znakomite kiszki z Anderlechtu, ryba „but” z Zelandii faszerowana krewetami, wreszcie gęś, a do niej jabłka smażone w trzech odmianach tłuszczu. Z napojów zamówił rotmistrz drogie wino cypryjskie, od którego nawet na policzkach starców wykwitają rumieńce, mocny schiedam, pędzony przez węglarzy z jagód jałowca, a wreszcie kazał wtoczyć antałek brabanckiego piwa i wezwał grajka.

Osobliwy był to muzykant. Specjalnością jego było wtórowanie pijakom do śpiewu. Grał na instrumencie zwanym *rummel-pot*, który składał się z garnka, świńskiego pęcherza i struny. Za kilka godzin spędzonych w szynku dostawał posiłek i parę drobnych monet.

Uczta przeciągnęła się do północy... Swawolny wojak oblał jedną z dziewczyn winem, gospodarza poklepał po plecach, wyściskał zdumionego skrybę i wyszedł.

W oberży pozostał Pieter Sluyt, tak przerażony, iż słowa nie mógł wykrztusić. Skoro właściciel podsunął mu pod oczy tabliczkę, na której kreskami była oznaczona suma do zapłacenia, młodzieniec opuścił do kieszeni dłoń i wyjął je po chwili z podszewką, co miało oznaczać cichą rezygnację.

Oberżysta uniósł się gniewem.

– Trzymajcie go! – wrzasnął do dziewczek i własnoręcznie zaczął zdejmować z gościa garderobę. Wyłuskał go ze spodni, zabrał haftowaną bluzę, wyrwał mu z garści opończę, a z nóg ściągał nowiuteńkie buty, przywiezione z jarmarku w Amsterdamie.

– Słuchaj, ty, chłystku przeklęty! Daję ci dwie zdrowaśki czasu. Umykaj, bo za chwilę spuszczę ze smyczy kundle, które dobiorą się do twoich łydek.

I z tymi słowy wypchnął go za drzwi.

Pieter Sluyt, mając na sobie tylko kusawą koszulkę, puścił się cwałem w kierunku siedziby księgarza. Zdażył dobiec zaledwie do rynku, gdy usłyszał poza sobą wściekle ujadanie. Psy biegły po jego tropie.

Nieszczęsny młodzieniec stracił zupełnie głowę. Mijając kościół świętego Bawona, skręcił raptownie w boczną uliczkę, a ujrzawszy otwarte okienko parterowe, podskoczył, oburącz chwycił się framugi i dał nurka w ciemną otchłań.

Rozległ się przeraźliwy krzyk, albowiem pokój, do którego Pieter Sluyt dostał się tak niezwykłą drogą, był alkową małżeńską pana Rogera van Ninove, pierwszego budowniczego miasta.

Z okazji uroczystego święta, pan domu bawił u burmistrza, natomiast pani spoczywała w łóżu pod baldachimem.

Krzyki wystraszonej kobiety zaalarmowały służbę. W mgnieniu oka skrepowano pisarza postronkami. Jeden z parobków poleciał do ratusza, by zawiadomić pana o napadzie.

Architekt początkowo chciał intruza zabić, ale na prośbę żony, która lękała się krwi przelewu, wydał go w ręce władz.

Pietra Sluyta skazano na banicję. Wyemigrował do Moguncji, gdzie rychło znalazł służbę u zbieracza rękopisów, Henne Gensfleisch von Sulgeloeh, zwanego Gutenbergiem.

Uchodząc z Haarlemu, zdołał jednak unieść ze sobą kilka słupków z wypukłymi literami, owoc praktyk mistrza Wawrzyńca Costera.

W największej tajemnicy Pieter Sluyt zaznajomił swego nowego pana ze sztuką wycinania pojedynczych liter. Niebawem zbudowano prasę drukarską, na której ustawiono wyryty w drewnie 42-wierszowy tekst Biblii¹, pierwszego drukowanego wydawnictwa na świecie...

Do spółki przystąpił wkrótce bogaty złotnik Fust i mieszczanin Schöffer. Dzięki ich kapitałom powstała pierwsza tłocznia.

Stary Wawrzyniec Coster, dowiedziawszy się o wykradzeniu sekretu, umarł z wielkiej żalości.

Mieszkańcy Haarlemu nie zapomnieli jednak o nim. Dziś jeszcze w sali ratuszowej można oglądać portret mistrza, trzymającego czcionkę „A” w palcach prawej ręki.

¹ Biblia 42-wierszowa została złożona i odbita około 1455 r. czcionkami metalowymi.

RADOSNA REZYGNACJA

Nie kleiła się praca młodemu Adrianowi. Od świtu stał przy sztalugach w bocznej nawie kościoła parafialnego. Leniwie, bez zapału wykończył twarze aniołków cisnących się u stóp Madonny.

Za twórcę obrazu uznany będzie mistrz Tytus Meulemans, a na Adriana nikt nie spojrzy. Czy warto więc mozolić się dla cudzej sławy?

Albowiem mistrz Tytus przyjmował jednocześnie po kilka zamówień. Osobiście nie męczył się zbytnio. Naszkicowawszy główne motywy rysunku, wszystkie trudy, nie wyłączając tarcia farb między kamieniami, zwał na swych uczniów.

Tym razem zawiódł się na Adrianie. Młodzieńcowi inne aniołki zaprzętnęły głowę, aniołki podające kufle gliniane z piwem w wesołej oberży „Pod znakami zodiaku”. Zwłaszcza to, co usłyszał od Martje, spokoju mu nie dawało. Dziewczyna przyznała się szczerze, iż komendant obozujących w mieście muszkietarów, Diego de Gomez, wyznał jej miłość i zapowiedział na niedzielę wizytę. Justus, właściciel oberży, wymagał od posługaczek bezwzględnego posłuszeństwa.

Adrianowi, o którego przyjaźni z Martje Potter wiedziały wszystkie kumoszki, nie uśmiechał się tytuł rogowca.

Przed zachodem słońca Tytus Meulemans powrócił z jarmarku w Uccle. Był w wyjątkowym humorze, udało mu się bowiem sprzedać dwa obrazy najpodlejszych uczniów. Gdy jednak spojrzał na pracę pupila, mina mu zrzedła.

– *Hottverdoem!*¹ – zawołał. – Co to ma wyobrażać? Pierwszy raz w życiu oglądam aniołki z twarzami sprośnych dziewczek z oberży. Adrianie, ty chyba byłeś pijany?

Malarza niewiele to obeszło. Zbliżał się wieczór, a z nim pobyt w gospodzie. Wiedział, że Martje też o nim myśli. Być może, przegląda się teraz w zwierciadle i przymierza czepek lniany, który dla niej wyłudził od kupca z Oudenarde. Nie słuchając zrządzeń Tytusa, Adrian pozbierał przybory malarskie, resztki farb pozsypywał do skórzanych woreczków, zaniósł wszystko do zakrystii i wyszedł.

– *Smeerlap!* Ty ścierko od podłogi! – krzyknął mu na pożegnanie chlebowca.

Mijając dom ze znakami Strzelca i Wodnika, Adrian wstąpił do oberży na pogawędkę z Martje. Następnie udał się do cyrulika Jana van Hoog i odbył z nim poufną naradę.

Przecucie go nie zawiódło. Van Hoog, obsługujący elegantów miasta, cieszył się też zaufaniem komendanta muszkietarów.

Rozmowa malarza z cyrulikiem przeciągnęła się do północy. Opuszczając pachnące mieszkanie, Adrian miał twarz uradowaną, myśl jasną i chód pewny siebie. Poszedł wprost do oberży, gdzie oczekiwała go Martje z gąsiorkiem wina. Przesiedzieli do świtu w ogrodowej altanie, z dala od hałaśliwych gości. A kiedy oswojone żurawie zaglądać zaczęły do ich domku, Adrian wyściskał dziewczynę i rzekł:

– Nie płacz, mała. Van Hoog po naszej stronie.

Czyniąc przygotowania do fatalnej niedzieli, Adrian pożyczył od sąsiadów złego kundla, zamknął go w ciemnej komórce i przez dwie doby morzył głodem. By doprowadzić psa do większej wściekłości, omotał mu pysk gałganem, a do ogona przywiązał za-

¹ Cholera, do diabła! – *flam.*

suszoną rybę brzuchacza. Przy lada poruszeniu kolczasta skóra morskiego potworka szeleściła głośno, nie pozwalając psu na spoczynek.

Po dwudniowych katuszach kundel był gotów. Oczy nabiegły mu krwią, sierść zjeżyła się na karku. Ciałem zwierzęcia wstrząsały drgawki, z pyska sączyła się piana.

Skoro trębacz z wieży ratuszowej oznajmił południe, Adrian założył psu obrozę, wziął go na smyczę i wyprowadził na rynek.

– *Hottverdoem*, cóż to za okaz – dziwili się przechodnie. – Czyżbyś zamierzał go sprzedać?

Adrian nie odpowiadał na żarty. Ukrył kundla w budce z dewocjonaliami i wdał się w przyjacielską pogawędkę z handlarką. Plac z wolna opustoszał. Mieszczanie udali się z wędkami nad Skaldę.

O godzinie pierwszej ukazał się na rynku Diego de Gomez. Ubrany był odświętnie w koronkowy kołnierz, nakrochmalony mąką z kasztanów. Wąsy, brodę i włosy miał wysmarowane pomadą, od której błyszcząły jak lakier z Dordrechtu. Kroczył dumnie, zerkając dokoła okiem zwycięzcy.

Pies zaskomlił cicho, szarpnął się i wciągnął nozdrzami powietrze. Adrian zwolnił go ze smyczy, lecz nie wypuszczał z rąk. Dopiero gdy Hiszpan znalazł się w pobliżu budki, uchylił nieznacznie drzwiczek, kopnął kundla w udo i zawołał: „Bierz!”.

Z przeciągłym wyciem wysunął się czworonóg na światło dzienne. W pierwszej chwili oślepiło go słońce. Zawył jeszcze głośniej. Odpowiedziały mu głosy współbraci wygrzewających się przed domami.

Z ciasnych uliczek, zaułków i podwórz wybiegać zaczęły psy, zwabione wyciem. Otoczyły Hiszpana, lecz zbliżyć się nie śmiały. Gomez ścisnął rękojeść szpady. Nie zdążył jej jednak obnażyć.

Sprowadzony przez Adriana kundel wpadł w furję. Skoczył Hiszpanowi na piersi, zębami złapał za brodę, szarpnął i wyrwał pęk włosów. Pozostałe zwierzęta, ogarnięte niezrozumiałym szaleństwem, zaatakowały przerażonego wojaka.

Diego de Gomez rzucił się do ucieczki. Jeden z ogarów, wyprawiając skoki niezwykłe, hasał po placu z pióropuszem w pysku. Drugi tarzał się w pyle, rwąc na strzępy koronkowy kołnierz.

Alarm sprowadził muszkieterów. Przybiegli, zawinęli pokaleczonego komendanta w płaszcz wojskowy i przenieśli do mieszkania. Po chwili wrócili na rynek uzbrojeni w topory, pałki i widły.

Dwie godziny trwała oblawa. Wybito niemal wszystkie psy, taki bowiem był rozkaz.

W mieście nikt się nie domyślił, co właściwie zaszło. Tajemnicę znali tylko Adrian, Martje i Van Hoog, który czyniąc zabiegi toaletowe, wysmarował Hiszpanowi fryzurę wilczym sadłem.

Podczas gdy don Diego kurował się z ran i zadrapań, w życiu młodego malarza zaszły ważne zmiany. Mistrz Tytus udzielił mu dymisji. Za co? Rozmaicie opowiadano w mieście. Zatarg powstał na tle rozbieżności zdań o sztuce.

Malując obraz świętej Cecylii, Adrian pozwolił sobie na urozmaicenie tematu. U stóp świętej narysował kufel piwa, obwarzanek i kilka rzodkiewek.

Stwierdziwszy taki odskok od prądów panujących w malarstwie, Tytus Meulemans złapał się za głowę.

– Zwariowałaś! – krzyczał. – Czy kpisz ze mnie?

I obsypał ucznia stekiem przekleństw, świadczących o zupełnym braku szacunku.

Ze swej strony rozgniewał się też Adrian, dla którego piwo i rzodkiewki przedstawiały piękną dekorację. Zdjął fartuch, cisnął mistrzowi pod nogi i oznajmił, że w takich warunkach pracować nie ma zamiaru.

– Precz! Żebyś wiedział, że droga do sławy jest przed tobą zamknięta. I nie waż mi się przychodzić do szlacheckiego cechu malarzy! – zawołał Meulemans.

Po naradzie z Martje Adrian zrezygnował z kariery artysty kościelnego. Wyjechali na wspólną tułaczkę. Życie płynęło im szczęśliwie na wałęsaniu się od oberży do oberży.

Aniołów Adrian Brouwer nie malował już nigdy. Wolał uwiecznić na płótnie ciepłe wnętrza gospód flamandzkich, portretował pijaków i chwycił sceny bez troski. Zyskał nawet popularność, ale do porządnych domów nie był wpuszczany.

Pewnego razu, bawiąc w czcigodnym mieście Schaerbeek, poprosił proboszcza o udzielenie ślubu. W trzy dni po tej uroczystości Martje obdarzyła go synem, co uznano za dziwny zbieg wypadków.

Uzbierawszy nieco grosza, Adrian wrócił do rodzinnego Oudenarde i założył oberżę „Pod głupim Tytusem”, którego podobiznę wymalował na nowym godle. Martje z godnością sprawowała rządy, obok szynkwasu stały sztalugi. Gości nie brakowało. Wabiły ich humor artysty oraz znakomita kuchnia.

ZEMSTA NA TLE HISTORYCZNYM

Nudził się pan przodownik. Od sześciu godzin nie zanotowano żadnego wypadku. Księga raportów świeciła białymi stronicami. W pokoju dyżurnych, w areszcie i w kancelarii komisariatu panowała cisza. Posterunkowi drzemali na ławach, a tresowana wilczyca Dolly chwytła muchy.

– Zdechnąć można – mruknął przodownik.

Podszedł do półki i wybrał poszarpaną książkę pod tytułem „Lekarz domowy”. Był to samouczek homeopatii. Jakim cudem znalazł się w komisariacie, nikt wytłumaczyć nie umiał. Studiowali go wszyscy policjanci podczas długich nocnych dyżurów.

„Jeżeli chory odczuwa dreszcze – czytał przodownik – należy bezwarunkowo za-administrować «Aconitum 3». Dzielnym ten środek zapobiega wszelakim stanom podgorączkowym i przygotowuje organizm do przyszłej walki z chorobą. W razie duszności – dawać choremu co pół godziny «Pulsatilla» na przemian z «Bryona 6». Gdy pacjent uskarża się na bóle głowy jak po przepiciu...”

Przodownik westchnął.

– Ot, żeby choć przyprowadzili jakiego śmirusa¹, przynajmniej człowiek mógłby pogadać, wypytać, z kim pił, co pił, co mu zaszkodziło. A tu pies z kulawą nogą nie zajrzy.

Zrezygnowany, pogrążył się w lekturze samouczka.

Raptem na schodach zadudniły kroki. Dał się słyszeć znany basowy głos:

– No, dali, przebieraj nogami, barania głowo!

– To Jakubowski – pomyślał z zachwytem przodownik. – To Jakubowski prowadzi pijanego. I jak dobry gospodarz wyszedł na spotkanie gości.

Do pokoju dyżurnych wpadła zdyszana grupa. Kelner z serwetką, podgazowany obywatel na słomianych nogach, drugi – łysy z głową okręconą mokrym ręcznikiem, ale trzeźwy, wreszcie posterunkowy.

– I gdzieżeś się pan tak ululał? – przemówił bez gniewu pan przodownik.

– Co, ululał? I pan się o to pytasz w takiej chwili? Zbrodnia, panie przodowniku, zbrodnia. Niewinnych ludzi mordują!

– Jaka zbrodnia?

– Żadnej zbrodni nie było – odrzekł posterunkowy Jakubowski. – Ot, po prostu ten pan wyrzwał tamtego pana kijem bilardowym w łysinę. Zwykle zakłócenie spokoju w stanie nietrzeźwym.

– Panie przodowniku – darł się pijany – czy to teraz nie wolno tknąć zbrodniarza? Taki morderca chodzi spokojnie po mieście, nawet na bilard zagląda i kibicuje.

– Morderca?

– Właśnie. Największy zbrodniarz, jakiego znała historia!

Z kolei przemówił gość z ręcznikiem na głowie.

– Ja, morderca? Panie przodowniku, to on mnie chciał zamordować. Grubszym końcem kija wyrzwał w sam czubek głowy. O, proszę spojrzeć, jakie mi jajo wyrosło.

– Ha! Milcz zbrodniarzu! – wrzasnął oskarżyciel.

– Ja mam milczeć? Panie przodowniku, niech go pan nie słucha. O, proszę spojrzeć, całkiem pijany. Oparł się o ścianę i jak parasol stoi.

¹ Pijaka – zob. B. Wiczorkiewicz, *Słownik gwary warszawskiej XIX wieku*, Warszawa 1966.

– Ciszej! Panie Jakubowski, o co chodzi?

– Zwyczajnie. Pijany pobił trzeźwego.

– A pan, co wiesz o tym? – zwrócił się przodownik do kelnera.

– Wiem tylko tyle, że nasz stały gość, pan Stanisław Biskupski, obchodzi dziś imieniny. Siedział na dole i pił w kratkę. Mówiłem, proszę pana, że alasz z porterem nie sztymuje. Ale uparł się i powiada: „Jak mam serdeczną rzewność w głębi duszy, to nic mi nie zaszkodzi”. I zamówił nowy kufelek.

– No, mów pan dalej.

– A potem, to pan Biskupski chciał naszą bufetową schować do pianina, tylko nie mógł jej przekonać, że się tam zmieści. Więc rozgoryczył się bardzo i poszedł na bilardy. Po kwadransie, jak usłyszałem wrzaski i tupot nóg, to zaraz poleciałem na górkę. Widziałem tylko, że pan Biskupski gonił tego drugiego pana dokoła bilardu i grzmotnął go kijem w łysinę, aż mnie mrowie przeszło. Posłałem po policję, rozbitą głowę okręciłem ręcznikiem, ot i wszystko.

– Ej, panie Biskupski, nie śpij no pan na stojąco. Za co pan biłeś tego pana?

– Za co? I pan się jeszcze pyta? Ładna policja!

– No, no, tylko bez osobistych wycieczek. To może pan mi powie, za co tak pana zamalował Biskupski?

– Nie wiem. Jak babkę kocham, nie wiem.

– On nie wie! Sto razy opisywano go w książkach, a on nie wie!

– Ciszej! Nie drzyj się pan.

– Ja się drę? Zresztą, jest was tu dwu przodowników, to niech jeden pyta mnie, a drugi zbrodniarza.

– Jak to dwu? Ja tu jestem jeden.

– To właśnie jeden niech gada z mordercą, a drugi ze mną.

– Panie, panu w oczach się dwoi. Tu nie ma drugiego przodownika. I po co pan pijasz w kratkę, kiedy panu fachowcy tłumaczą, że tak nie można.

– Ja piję, jak mi serce dyktuje.

– Właśnie. A potem gonisz pan ludzi z kijem bilardowym.

Maczając pióro w kałamarzu, przodownik zwrócił się do pobitego:

– Pańskie imię, nazwisko i adres?

– Bolesław Śmiały, masażysta, Bednarska trzydzieści jeden.

– A, więc przyznajesz się! – wrzasnął pijany. – Przyznajesz się nareszcie!

– Panie przodowniku, on zwariował. Czego on się do mnie przyczepia? Ani go znam, ani go masowałem. Nikogo nie zabiłem, w więzieniu nie siedziałem. Na świadka mogę przyprowadzić dozorcę domu.

– Ja jestem świadkiem, ja oskarżam. Ładna policja, co nie zna historii. Ładny rząd...

– Dość tego! – zawołał zirytowany przodownik. – Panie Jakubowski, do paki z nim, niech się wyśpi. Protokół spisujemy jutro.

I znów cisza zaległa w pokoju. Słychać było tylko szelest przewracanych kartek i szept przodownika: „Bryona... Aconitum... Pulsatilla...”.

RECENZJA Z PREMIERY

Pan Tygellinus jest zaiste genialnym dyrektorem. Pragnąc powetować przerwę w widowiskach spowodowaną przez pożar, wezwał dwu najzdolniejszych architektów miejskich, panów Sewerusa i Cellerę, którzy z właściwą im energią wybudowali nowy gmach cyrku w niespełna dwa lata.

Ostatnia premiera dała nam tyle wrażeń, iż starczyłoby ich na ustalenie reputacji dla trzech pokoleń dyrektorskich.

W cyrku był nadkomplet. Nawet w przejściach cisnęły się tłumy plebejuszów z Zatybrza. Najjaśniejszy Pan raczył się zjawić w swej łoży, witany hymnem narodowym przez trębaczy gwardii pretoriańskiej. Sąsiednie łoże zajęli radni miejscy z prezydentem na czele, senatorowie i wojskowi wyższej rangi. Kapłanki Westy, co do których konduity dałoby się coś niecoś powiedzieć, spóźniły się jak zwykle i miast zachować powagę kokietowały oficerów. Arcykapłan świątyni Vulcanusa przybył w towarzystwie uroczych mandolinistek.

Urządzane dla galerii walki andabatów¹, zwłaszcza gdy mastygoforowie² jęli zachęcać ich widłami, wznieciły żywy entuzjazm w „wyższych” sferach widzów. Celowały w klace andrusy z Remurii. Wołania w rodzaju: „Daj mu bata!” albo „Wal Etiopa w mawkówkę!” wywoływały grymas politowania na twarzach szlachetnych patrycjuszów.

Trupy uprzątano szybko i bardzo starannie, co w porównaniu z poprzednim programem stanowi duży postęp.

Ożywienie w łożach można było spostrzec z chwilą ukazania się pierwszej pary solistów, panów Lanio (Galia) i Kolendio (Tracja). Pierwszy – uzbrojony w krótki miecz i tarczę, drugi – w sieć i trójzab, walczyli subtelnie i z gracją. Zwłaszcza Lanio wyprawiał zabawne hopki i piruety, wykazując nieoczekiwaną zręczność.

Po kilku spotkaniach *corps à corps*³ piękny Gall wpadł w sidła Traka, który na życzenie P.T. publiczności poderżnął mu gardło.

Za kulminacyjny punkt programu należałoby uznać masowe walki gladiatorów. Tym razem dobór personelu był wyjątkowo staranny. Oddziały Samitów, Mirmilonów, Galłów itp. prześcigały się wprost w odwadze. Był to prawdziwie piękny numer. Natomiast chrześcijanie sprawili widzom gorzki zawód. Ludzie ci nie mają pojęcia o zachowywaniu się na arenie. Na widok dzikich zwierząt klękają i nucą jakieś monotonne pieśni, przypominające chóry świątyni Janusa. Dyrekcja lepiej by zrobiła, pozostawiając ich w lochu. Szkoda czasu. Nigdy nie staną na wysokości zadania.

Podczas antraktu zdarzył się przykry wypadek. Pan Chilo Chilonides, właściciel znanego kantoru wymiany, zasłabł nagle z nieustalonej przyczyny.

Prawdziwie pięknym popisem, niespodzianką przygotowaną przez dyr. Tygellinusa, był woltyż Mlle Ligii na nieosiodłanym turze germańskim. Numer ten połączył się niespodzianie w jedną całość z występem czempiona ciężkiej wagi, pana Ursusa, słynnego ze swych spotkań z Krotonem. Doprawdy, takiej sensacji sportowej, takiego ryku publiczności oczy nasze nie oglądały i uszy nie słyszały.

¹ Gladiatorów walczących w hełmach bez otworów na oczy – z łac.

² Sędziowie pilnujący przestrzegania reguł walki – z gr.

³ W walce wręcz – franc.

Było też na co patrzeć, a miłośnicy atletyki usiedzieć wprost nie mogli na ławkach. Nawet Najjaśniejszy Pan przerwał konferencję z szefem sztabu generalnego, panem Kasjuszem i obserwował przez monokl ametystowy rozgrywającą się akcję.

A gdy tur legł z wywieszonym ozorem u stóp zwycięzcy, zerwała się istna burza oklasków. Wszystkie serca biły jak młotem.

Najjaśniejszy Pan raczył zaszczyścić Ursusa rozmową, wypytując go o wiek, pochodzenie, zdobyte nagrody, czy żonaty, czy pijący itp.

Podniosły nastrój był jednak zakłócony przez wysoce nietaktowny postępek porucznika Winicjusza. Młody ten wojak wyrwał się jak Filip z konopi. Nie zważając na prośby przyjaciela swego, pana Petroniusza, wyskoczył z łoży, przesadził barierę i podbiegł wprost do mdlejącej Mlle Ligii.

Nie naszą rzeczą jest roztrząsać, jakie stosunki łączą tę młodą parę, ale Komenda Miasta powinna zwrócić panom oficerom uwagę, że wszelkie manifestacje sympatii dla artystek nie mogą być tolerowane na terytorium cyrku. Od tego są termy i ogrody.

Tyle o programie. W niedzielę odbędzie się przedstawienie dla młodzieży, nie mniej urozmaicone od wczorajszego. Bilety ulgowe ważne. Dyrekcja prosi, aby panie nie przynosiły ze sobą niemowląt przy piersi, które i tak nic nie rozumieją, a ciągłym bekiem rozpraszają uwagę widzów.

WIELKI DZIEŃ POGROMCY TYGRYSÓW

– *Allez, allez, hopla!*¹ – krzyknął pogromca, trzaskając z bata.

Na ten sygnał, jeden z tygrysów zwinął się w kłębek, wyprostował raptownie grzbiet i skoczył przez kółko przybrane frędzelkami z bibułek.

– *Hopla!* – zabrzmiał nowy rozkaz.

Następny tygrys fiknął koziołka z pośpiechem zupełnie nielicującym z jego majestatyczną postawą.

Pogromca jeszcze raz strzelił z biczyska na wiwat i zwrócił się do publiczności:

– *Voilà!*²

Nagrodzono go grzmotem oklasków. Istotnie, tresura była znakomita, co każdy mógł poznać po zadowolonych minach bywalców galerii.

Teraz następowała najbardziej wzruszająca faza popisu z dzikimi bestiami. Józef Wemborek, figurujący na afiszu jako Niko Csengery, miał wetknąć głowę do otwartej paszczki olbrzymiego Sułtana i trzymać ją tam około pół minuty. Widzów zazwyczaj dreszcz zimny przenikał, ale pogromca, pracujący w tym zawodzie od lat dwudziestu, nie czuł żadnej tremy.

– *Ouvrez!*³ – zawołał.

Trzymając głowę między półkolami zębów tygrysa, przemyślał właśnie nad zorganizowaniem partii brydża. Wszak „człowiek-wąż”, „mister August” i „Herkules XX wieku” wyrazili zgodę. Chodzi tylko o to, czy pani Wemborkowa nie wypędzi ich sromotnie, jak to się zdarzyło przed dwoma dniami. Kobiety miewają humory bardzo zmienne.

Pół minuty minęło. Orkiestra zagrała fanfarę, pogromca wyszedł z klatki i udał się do garderoby. Zdjął granatową kurtkę z żółtymi szamerowaniami, haftowane spodnie, lśniące buty i, po chwili, ze srogiego Węgra przeistoczył się w dobrodusznego cywila. „Człowiek-wąż” i „mister August” byli już również rozcharakteryzowani. Brakowało tylko „Herkulesa XX wieku”, który właśnie zginał sztaby żelazne i rwał łańcuchy na arenie. Wkrótce i on znalazł się w garderobie. Zdejmując trykot, zagadnął:

– No, jak tam twoja żona, Wemborek? Będzie brydż, czy nie będzie?

– Hm, spróbujemy.

Opuścili cyrk i udali się do stojącego w pobliżu domku na kółkach. Pani Wemborkowa czekała widocznie na męża, gdyż wychyliła głowę spoza drzwiczek, nawołując:

– A, jesteś, ty niedołego! Już myślałam, że cię te łapichrusty na piwo zaciągną. Po coś ty ich tu przyprowadził?

– Ja uciekam – oświadczył speszony „mister August”.

– I ja – dodał bardzo niepewnym głosem „Herkules”.

– Tak, trzeba będzie partię odłożyć – zgodził się pogromca tygrysów.

Koledzy rozeszli się ze smutkiem.

¹ Jazda, jazda, hop! – *franc.*

² I już, proszę! – *franc.*

³ Otwórz! – *franc.*

Nazajutrz, po przedstawieniu, Józef Wemborek nie wrócił wprost do swego ruchomego domku, lecz chyłkiem wymknął się z garderoby i pobiegł do piwiarni. Oczekiwali go tam przyjaciele oraz talia spracowanych kart.

Partia przeciągnęła się do drugiej nad ranem. Wychodząc z gospody, pogromca potknął się tuż przed progiem o zziębniętego pieska. Był to jamnik, z jednym tylko uchem, w obroży, ale bez medalika. Wziął go na ręce, wszedł do piwiarni i zapytał:

– Czyj to pies?

Nikt nie chciał się przyznać do biedaka.

– Zabiorę go ze sobą – oznajmił tknięty współczuciem.

I zabrał. Zachowując wszelkie środki ostrożności, wślizgnął się bez szelestu do ciasnej kuchenki, położył jamnika pod ciepłym piecykiem, otulił kawałkiem szmaty, po czym, tamując dech w piersi, przeszedł do pokoju.

Żona spała.

Po chwili pogromca znalazł w ciemnościach zapalniczki i świecę. Zapalił, zdjął kamasze, ściągnął spodnie, ułożył je na krzeselku, gdy nagle rozległ się piekielny hałas. Buda zadrzęła, resory jęknęły, a nad wszystkim górował brzęk tłuczonego fajansu.

Pani Wemborkowa wyskoczyła z łóżka.

– Co to?

Wbiegła do kuchni i wydała okrzyk zgrozy. Szafka, zastępująca kredens, leżała na ziemi wśród rozbitych talerzy, półmisek, filiżanek, kuflów i mnóstwa innego dobytku. Na szafce siedział jamnik, ogryzając zapamiętałe ćwiartkę cielęciny.

Jednym kopnięciem bosej nogi niewiasta wyrzuciła go za drzwi, następnie złapała pogrzebacz i, promieniując gniewem, przemówiła do męża w sposób wykluczający wszelkie wątpliwości co do dalszego ciągu.

Przerażony pogromca musiał szukać ocalenia w ucieczce. Bez butów i bez spodni wyskoczył z rodzinnego gniazda, przebiegł przez pusty plac, wpadł jak szalony do stajen cyrkowych i ukrył się w klatce z tygrysami. Zaledwie zdążył zatrzaskać za sobą furtkę, gdy ukazała się małżonka.

– Spróbuj no wyjść, jeżeli cię strach nie oblata! – krzyknęła.

Pomamrotawszy jeszcze około kwadransa, odeszła.

Pogromca odetchnął z ulgą. Ostatecznie mógł w klatce przespać się do rana, a później zaopiekują się już nim koledzy, w razie potrzeby – nawet sam dyrektor.

Tygrysy, zdziwione nagłym pojawieniem się mistrza, popodnosiły pyski i jęły spoglądać nań pytająco.

– Sułtan, tu! – przemówił Wemborek.

Zwierzę położyło mu łeb na kolanach. Objął oburącz ciepłą, puszystą szyję i szeptał faworytowi coś do ucha. Żalił się długo na zły los, na żonę, na ciągłą poniewierkę.

Sułtan mrucał, jak gdyby współczując troskom swego pana. Wysunął różowy język i liznął go po twarzy.

O szóstej rano chłopiec stajenny zastał pogromcę śpiącego między tygrysami. Zdziwił się jeszcze bardziej, skoro skonstatował, że pan Wemborek jest bez spodni, a na nogach ma zabłocone skarpetki.

– Hej! – krzyknął.

Ale pogromca kazał mu iść precz, przytulił się do Sułtana i zachrapał. Dopiero o ósmej przebudził się na dobre. Posłał chłopaka po kawę do bufetu, lecz z klatki nie wyszedł.

Raptem do stajni wbiegł zdyszany „Herkules XX wieku”. Wywijając gazetą, wrzeszczał:

– Wemborek, Wemborek, zarobiłeś sto złotych!

Ujrzawszy pogromcę, podał mu dziennik przez sztachety.

– Czytaj, o tu, drobne ogłoszenie.

W wąskiej szpalcie rzuciły się w oczy słowa: „Nagroda 100 złotych” – a dalej tekst: „Zginął jamnik podpalany, bez lewego ucha, wabi się Toto. Za odprowadzenie 100 złotych nagrody. Zawiadomić telefonicznie: 26 – 08”.

Pogromca ryknął tak potężnie, że aż tygrysy pochowały ogony. Wyskoczył z klatki, w kilku susach dopadł garderoby i ubrał się w najparadniejszy uniform węgierski.

– Podaj no mi mój pejcz, ten z byczej skóry! – zawołał na chłopaka.

Wystrojony jak na galowe przedstawienie, wziął gazetę i pewnym krokiem podążył do swego domku. Nie zawahał się na schodkach, o nie. Pchnął drzwi z impetem, strzelił z bata, a co dalej się działo, to już pozostanie w sferze domysłów.

„Herkules”, „człowiek-wąż”, „mister August”, nawet dyrektor cyrku, nie wyłączając reszty personelu, stanęli dokoła. A wewnątrz wciąż słychać było trzaskanie bicia, płaczliwy głos kobiety i gromkie okrzyki Wemborka:

– *Allez, hopla!*

Po chwili na schodach ukazał się triumfujący pogromca. Trzymał za rękę żonę, złąmaną, potulną jak owieczka.

– *Voilà!*

Odpowiedziano mu grzmotem serdecznych oklasków.

W pamiętnym owym dniu tygrysy otrzymały podwójną porcję ochłapów.

BANKIET DOROŻKARZY

Zastępując w czasie ferii letnich jednego z kolegów, musiałem z polecenia redakcji udać się do oberży „Pod Grubą Kaśką” na kongres dorożkarzy.

Posadzono mnie obok przewodniczącego. Jadłem i piłem nie gorzej od delegatów. Na życzenie P.T. Publiczności wygłosiłem mowę, przyjętą z niejednorodnym entuzjazmem. Oto treść, oczywiście w skróceniu:

Szanowni Panowie!

Źle o koniu może się wyrazić ten tylko, kto był przejechany lub kopnięty. Piękne to zwierzę od najdawniejszych czasów jest wiernym towarzyszem dorożkarza, niejako jego częścią uzupełniającą. Koń potyka się często, a kiedy potknie się na dobre, to robi się zbiegowisko z policją i zatrzymaniem tramwajów.

Rozróżniamy wiele gatunków. Do najważniejszych należą: konie dorożkarskie, konie pociągowe, które oczekują pasażerów z pociągu, konie wojskowe, szkapy, rumaki, konie cyrkowe, parowe, wyścigowe, koniki zwierzynieckie itp.

Chwyatanie konia na lasso dawno już wyszło z mody. Nawet w literaturze coraz rzadsze są o tym wzmianki. Daleko praktyczniejszy jest sposób następujący. Dobiera się do pomocy jednego albo dwu niezgorszych jeźdźców, pod ubranie chowa się zwykły postronek i jazda na łowy.

Z obudzeniem konia nie ma trudności, albowiem oryginalne to zwierzę sypia na stojąco jak kto głupi. Należy wybrać odpowiedni okaz, zakneblować mu pysk, aby nie beczał, uwiązać na lince, kopyta okręcić słomą i cichutko wyprowadzić ze stajni.

Prawdziwy miłośnik i znawca nie omieszką zająć się toaletą zdobytego w ten sposób konia. Ufarbuje mu grzywę i ogon łupinami orzechów włoskich, dorobi strzałkę na czole wodą utlenioną, podpiłuje zęby.

Jeżeli konik ma iść na sprzedaż, należy go poić przez tydzień wodą z dodatkiem wapna, od czego stanie się grubszy i żwawszy. Praktykowane też bywa wbijanie kolca akacjowego między kręgi ogona, tuż przy nasadzie. Ten ostatni zabieg jest tylko wtedy uzasadniony, jeżeli koń nie wymachuje ogonem.

Zołąkę usuwa się łatwo przez wetknięcie do nozdrzy tamponów z włosia. Dla przysporzenia ręczności, dobry kupiec pokrzepi konia przed jarmarkiem sieczką z domieszką pieprzu. Ręczę, że ostatniej klasy koński niedołęga zacznie brykać jak młode źrebię.

Po jarmarku należy niezwłocznie wyjechać z miasteczka i przenieść się w odległą okolicę. Rozżalony nabywca mógłby człowieka skrzywdzić, a nawet zabić kłonicą.

Głosy: – O tak, niedawno w Garwolinie...

Szlachta po wsiach i niektórzy panowie w mieście mają zwyczaj umieszczania na udach końskich monogramów, herbów z koronami i innych znaków. Nie potrzebują chyba dodawać, że z takiego konia lepiej jest cudze monogramy wypruć i wyhaftować własne.

Głosy: – Niby w jaki sposób?

– Proszę mi nie przerywać. Jako dziennikarz, dbający o czystość języka, muszę też zwrócić uwagę szanownych panów na często popełniane błędy. Koń jest wprawdzie źródłosłowem wielu utartych wyrazów jak: kończyzna, koniczyna, koniferyna, koniak, Końskowola, ale we wszystkim trzeba znać miarę. Nie radzę panom wymawiać: końfitury, końklawe, Końfucjusz, gdyż to razi słuch i sprawia przygnębiające wrażenie.

Głos: – Trajla!

– Kto powiedział: „Trajla”? Pan? Siedź pan cicho! Wracając do koni, stwierdzam, że stworzenie to czuje pociąg do pokarmów roślinnych. Sam znałem pewnego konia, który jadał tylko zieleninę. Wprawdzie zimową porą karmiono go wiórami i trocinami, przedtem jednak trzeba mu było nakładać zielone okulary, aby nie mógł połapać się w kolorach.

Głosy: – Bujda! Zdaje mu się, że trafił na frajerów!

Ponieważ część audytorium zachowywała się niesfornie, odłożyłem zakończenie przemowy na dzień następny.

BANKIET KOLOMBOFILÓW

Poczta doręczyła mi zaproszenie tej treści:

Szanowny Panie!

Polski Związek Kolombofilów ma zaszczyt prosić P.T. Szanownego Pana o przybycie na wieczór dyskusyjny w salonach hotelu „Alcazar”. Strój wizytowy obowiązuje. Po bankiecie wymiana zdań na tematy dotyczące celów Towarzystwa. Pożądane krótkie referaty.

A cóż to za diabły, ci kolombofile? Zajrzałem do encyklopedii i nic nie znalazłem. W „Słowniku wyrazów obcych” Arcta również nie było o nich wzmianki. Pobiegłem do przyjaciela i zagadnąłem go, niby od niechcenia:

– Co myślisz o kolombofilach?

Wzruszył ramionami.

– Nic nie myślę – odrzekł. – Interesowało mnie to za czasów szkolnych. Teraz mam większe kłopoty na karku.

– Więc byłeś kolombofilem?

– Niby dlaczego nie miałem być?

– Powiedz mi, jak to robiłeś?

– Zwyczajnie. Tak jak i wszyscy.

Mój przyjaciel był stanowczo za lakoniczny. Nie chcąc przyznawać się do niewiedzy, przerwałem rozmowę i zagadnąłem jego narzeczoną:

– Czy pani wie, że Stefan był kolombofilem?

Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Czym? Kolombofilem? Nigdy mi o tym nie mówił. Ale ja się dowiem.

– A jak pani zapatruje się na to?

– Przyznam się panu, że nie mam pojęcia, co to jest kolombofil.

Zupełnie wykołejony wróciłem do domu, by przebrać się we frak i lakiery. Na bankiecie powitano mnie radośnie. Cały czas gadano o jakichś lotkach, fajfrach, sterówkach, grzywaczach, siniakach, turkawkach i synogarlicach. Przy drugim daniu sąsiad z lewej strony trącił mnie łokciem.

– Czy pan kolega jest zwolennikiem forsownych treningów nocnych?

– Owszem, owszem – odpowiedziałem – byle nie przekroczyć normy.

– O, to, to – zawołał – zawsze byłem tego samego zdania!

I serdecznie uścisnął mi dłoń. Poczujęm, że biją na mnie poty. Pod błahym pretekstem wstałem od stołu, wyszedłem do szatni, włożyłem portierowi pięć złotych do ręki, szepcząc:

– Na miłość boską, co to znaczy kolombofil?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Kolombofil? To niby tak się nazywa po klubowemu miłośnik gołębi pocztowych.

– Aha, więc to są miłośnicy. Dziękuję. Opowiedz mi pan coś o gołębiach.

Poinformowany wróciłem na salę. Właśnie zaczynały się przemowy. Jakiś starszy pan nawoływał, aby unikać zbytnej domieszki krwi belgijskiej, otrzymane bowiem w ten sposób egzemplarze są wrażliwe na zimno. Inny mówca radził stosować metodę

selekcyjną Stadelmana, trzeci bronił tezy wolnego doboru gatunków i tak dalej. Kolombofile raczyli się winem obficie, w czym im bynajmniej nie ustępowałem.

Mój sąsiad z lewej strony podszedł do prezesa. Coś mu mruknął, nieznacznie wskazując na mnie. Prezes skinął głową i zawołał:

– Panowie, przedstawiciel prasy ma głos.

W sali zrobiło się cicho. Uciec nie mogłem. Przypomniałem sobie słowa portiera, przeżegnałem się w myśli i śmiało przemówiłem:

– Szanowni panowie! Oczekujecie zapewne, że powiem wam jaką nowość o gołębiu. Wydaje mi się to dość trudne, gołabek bowiem jest ptaszkiem przedpotopowym. On to, jeżeli się nie mylę, przyniósł Noemu gałązkę oliwną na znak, że obszerna katastrofa ma się ku końcowi. Hodowla tych rzadkich do niedawna ptaków rozwija się u nas zadawalająco. Chociażby te rumiane gołabki pocztowe, które widzę przed sobą na półmisku.

– Co, gołabki? To są kuropatwy! – dał się słyszeć głos, drgający oburzeniem.

– Aha, kuropatwy. Niech i tak będzie. Chciałbym zwrócić uwagę panów na szlachetne obyczaje gołębi. Ptaki te, o ile mi wiadomo, żyją w ścisłym jednożeństwie. Samiczki znoszą po dwa jaja, a nie po jednym jak kury, i zupełnie nie gdaczą. Świadczy to o głęboko wpojonej skromności. Moi panowie, jeślibym miał zaliczyć gołębie do jakiej grupy, to określiłbym je jako ptaki przelotne. Na własne oczy widziałem, jak przelatują z dachu na dach, z powrotem i w kółko. Zdziwiający jest też ich pociąg w kierunku kariery pocztowej. Gołab w wielu wypadkach zastąpić może listonosza. Niejednokrotnie spotykałem na pocztówkach wizerunki tego ptaka, fruującego w przestworzach z kopertą w pysku. Sprytnie stworzenie zanosí list do alkowy zakochanej panny, ba, trafi nawet do wieży, w której srogi ojciec zamknął córkę księżniczkę. Gołębi nie należy wrzucać do skrzynek pocztowych. Postępowanie takie jest nieludzkie, a pocztylionów doprowadza do pasji. Gołab dał początek wielu pożytecznym przedmiotom jak: gołębnik, gołębiarz. Mój korepetytor nazywał się Gołębiowski, a krawiec, któremu daję spodnie do prasowania zowie się Ajzyk Gołab. Miłe dla ucha jest też słowo *gotubczyk*. Gołab ma nie tylko przyjaciół kolombofilów, ale i licznych wrogów. Na przykład wiewiórki często zakradają się do gołębników, siejąc śmierć i zniszczenie. Starcy miewają gołębie serca i długie brody. Gołębia trzeba kochać, tak, panowie. Zakładając hodowlę tych bojaźliwych ptasząt, należy z góry upatrzeć sobie odpowiednie okazy. Idzie się potem cichutko do gołębnika i podkadza śpiące ptaszki tartym korzeniem sandaraku. Garnek z węglami trzyma się pod marynarką. Po upływie kilku minut gołębie tracą świadomość. Wtedy zgarnia się je do worka i przenosi na własne podwórze. Im dalej tym lepiej, albowiem...

– Dość – wrzasnął prezes. – Precz z tym huncwotem!

Zaczęły na mnie spadać butelki, talerze, półmiski, karafki. Jeden z kolombofilów zdjął ze ściany aparat telefoniczny i strzaskał na mej głowie. Drugi strzelił trzykrotnie z rewolweru, wołając: „Giń marnie, kanalio!”. Omotali mnie serwetą i wyrzucili przez okno na podwórze.

Wróciłem do domu karetką pogotowia.

PRAWDA O STARYM ROZPUSTNIKU

Diogenes urodził się w drugorzędnej klinicy z dyskrecją zapewnioną. Mając lat cztery, hasał po błoniach podmiejskich Synopy, wdrapywał się na cudze drzewa owocowe i był utrapieniem przekupek na targowisku.

W ósmym roku życia po raz pierwszy pożyczył pół drachmy „pod słowem honoru” i oczywiście nie oddał. Zrobił też kilka odkryć przyrodniczych. Najciekawsze polegało na zastosowaniu tartej ciemnicy. Sprytny chłopak zauważył, że jeżeli szczyptę owego ziela domieszać do paszy, to koń dostaje bzika.

Od tej chwili w domach zajezdnych Synopy zdarzały się częste zakłócenia spokoju. Pewnego razu poganiacze mułów przyłapali Diogenesa na gorącym uczynku, spuścili mu lanie, przy czym omal nie uknęli głowy.

Urwisa oddano na praktykę do sklepu kolonialnego, skąd szybko wyleciał za drobne kradzieże. Następnie próbował szczęścia w pracowni słynnego rzeźbiarza figurek terakotowych. I tu niezbyt długo wytrzymał. Pewnego razu, podczas nieobecności pryncypała, Diogenes sprowadził kupców i sprzedał im całą zawartość pracowni. Za ten postępek umieszczono go na czas dłuższy w domu poprawczym, gdzie wydoskonalił swe wrodzone skłonności.

Będąc już dorastającym młodzieńcem, odbył pielgrzymkę na wyspę Delos. Pytia wyrzekła wtedy pamiętne słowa:

– Zmieniaj pieniądze!

Na podstawie tej wróżby młodzieńca oddano na praktykę do banku. Ze zdziwieniem stwierdzili mieszkańcy Synopy, że niebieski ptaszek stał się spokojnym i utemperowanym urzędnikiem. Nie biegał już do obrzydliwych spelunek podmiejskich, nie chodził obdarty, nie zaczepiał dziewcząt na ulicy.

Istotnie, Diogenes zaprzyjaźnił się z osiemnastoletnią tancerką Nicydią i był jej wierny.

Niestety, smutna rzeczywistość zadała kłam złudzeniom.

Pewnego razu w składzie kosmetyków Theodorosa aresztowano Nicydię za puszczenie w obieg fałszywych pieniędzy. Miała w torebce przy pasku jedenaście drachm odlanych z cyny. Na zapytanie, skąd je wzięła, odrzekła:

– Dał mi Diogenes.

Rewizja w mieszkaniu młodego bankowca doprowadziła do sensacyjnych odkryć. Znalaziono formy gipsowe, tygły i duże zapasy stopu, imitującego srebro.

Diogenes przesiedział rok w kryminale, a gdy go zwolniono za kaucją, uciekł do Aten.

Pieniądze, które wniósł jako kaucję, okazały się fałszywe.

W życiu naszego bohatera następuje przełom. Poznawszy się z filozofem Antystenesem, który ze starości stał się już niedołęgą, Diogenes zbuntował mu uczniów, wypędził go ze szkoły, a w lokalu założył szulernię. Od zachodu słońca do poranka rozbrzmiewały wesołe krzyki pijaków. Zgranych gości wylewano za drzwi bez ceremonii, a ponieważ byli to przeważnie cudzoziemcy, nikt więc nie ujmował się za nimi.

Jednak struna pękła. W szulerni przegrał majątek pewien obywatel ateński. Sprawa stała się głośna, zainteresowały się nią władze.

Wesołą kompanię wyeksmitowano, ku radości bogobojnych niewiast.

Bynajmniej tym niezmartwiony Diogenes zaopatrzył się w dużą beczkę, wtoczył ją z pomocą przyjaciół na plac Rei i ustawił przed gmachem Metreonu.

– To będzie mój dom – oznajmił. I z tymi słowy zamieszkał w beczce na długie lata.

– O, Diogenesie, czemu siedzisz w beczce? – pytali mieszczanie.

– Jeżeli staniecie się podobni do mnie – odpowiedział – to przyjmę was na sublokatorów.

Stopniowo Diogenes zaniedbywał się coraz bardziej. Przestał odwiedzać fryzjera. Wyrosła mu długa broda, na głowie zjawiała się łysina, ciało okryły łachmany. O kobietach wyrażał się z przekąsem, nawet ciskał w nie kamieniami, jeżeli zbyt blisko zbliżyły się do beczki. Czas spędzał na wygrzewaniu się na słońcu i figlach z ulubionym kundlem, którego bardziej umiłował od najwierniejszego z przyjaciół. Często też grywał na flecie, fałszując obrzydliwie. Chłopcy uliczni, chcąc go podrażnić, wołali:

– Łysy! Łysy, graj!

Mimo to Diogenes zyskał sławę niepospolitego filozofa, ponieważ nikt nie mógł zrozumieć, o co mu chodzi. Miał też liczny zastęp uczniów, przeważnie próżniaków, hultajów, obieżyświatów, którym dogadzał niefrasobliwy pogląd mistrza na życie.

Pewnego ranka, kupując na targu suszone oliwki, Diogenes spotkał znanego filozofa Platona.

– O, Diogenesie – rzekł mędrzec – gdybyś służył tyranowi z Syrakuz, nie jadałbyś na obiad suszonych oliwek.

– A ty – odpowiedział Diogenes – gdybyś jadał suszone oliwki, nie potrzebowałbyś służyć tyranowi.

Oburzony Platon znieważył czynnie Diogenesa. Ten nie pozostał mu dłużny. Złapał go wpół i wrzucił do basenu z rybami.

W beztroskim życiu Diogenes miewał jednak przykrości.

Zdarzyło się pewnego razu, że zgraja pijanych łobuzów z portu Pireus napadła na siedzibę filozofa. Andrusy nawbijały w beczkę gwoździ, wskutek czego stała się niezdatna do użytku.

Zniechęcony Diogenes opuścił Ateny i wsiadł na okręt, nie pytając nawet dokąd popłynie. W pobliżu Krety wszystkich pasażerów wziął do niewoli ponury korsarz Skirpalos. Filozofa, skutego łańcuchami, odesłano na targ niewolników. Zacerwieniły się na murach pisane ochrą ogłoszenia:

Sprzedam Murzyna

Mówi po grecku, śpiewa, pływa, dobry gimnastyk, ale bałamuci białe kobiety

Zamienię młodą Etiopkę na zdolnego lutnistę

Atesandros, kucharz, tanio do sprzedania, bo w podwórzu

Filozof ateński, czyta, deklamuje – niebywała okazja

Diogenes spędził w niewoli długie lata. Tak mu tam było dobrze, iż po odzyskaniu wolności nie chciał wracać do kraju. Musiano go siłą wpakować na pokład.

W Atenach żył kosztem przyjaciół. Zmarł nagle podczas uczyty w gospodzie Argostratesa.

WYCHOWANIE FIZYCZNE

Krażą pogłoski, jakoby Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zamierzało wprowadzić naukę dzu-dzitsu do szkół policyjnych. Projekt ten ma na celu skuteczniejsze zwalczanie mętów podmiejskich.

„Dziennik”

Wymeldowany świeżo z Pawiaka Pietrek Kalafonia obudził się pewnego ranka bez zwykłej pogody ducha. We wszystkich stawach odczuwał skutki galopującej pijatyki, bolała go też dolna szczęka.

– Będzie fluksja – mruknął. Zanosi się na tygodniówkę.

Sięgnął po lusterko, zerknął i zdziwił się szczerze na widok zdeformowanej fizjonomii. Zwłaszcza prawa strona przedstawiała smutny, choć malowniczy widok. Na dole opuchlina, podobna do szynki w pęcherzu, a pod okiem siniak błękitny.

– To nie fluksja – zawyrokował z zachwytem – to robota Jóźka Grochoszczaka. Piękna robota. Że też mi wszystko z głowy wywietrzało. Ale co powie Mańka?

Zaniepokojony tym pytaniem, Pietrek wygrzebał się z barłogu, napompował maszynkę naftową i, pijąc herbatę, zrobił mocne postanowienie.

Tegoż wieczoru kupił butelkę przepalanki, pół kilo salcesonu, paczkę „Ergo”, po czym ostrożnie zapukał do drzwi posterunkowego, pana Jakubowicza.

Policjant wytrzeszczył oczy, ujrzawszy zmasakrowaną głowę awanturnika. Powitał go jednak uprzejmie:

– A gdzie cię licho nosiło, ty łobuziaku zakazany! I któż to ci taki portret namalował? Pewnie Grochoszczak?

– Ot, panie posterunkowy, wstyd o tym mówić. Na mieście pokazać się nie można. Palcami wytykają i w żywe oczy się śmieją. Chciałoby się człowiekowi zacząć nowe życie, ale brak wykształcenia. Naucz mnie pan swej sztuki japońskiej, a wszystko odmieni się na lepsze.

Z tymi słowy Pietrek postawił na obrusie butelkę, obok położył salceson i odpieczętował papierosy.

– Grunt, żeby nie stracić respektu – dodał z westchnieniem.

Od kilku dni Kalafonia pilnie słucha wykładów posterunkowego, w lot chwyta każdą myśl, cudzoziemskie słowa.

– Dzu-dzitsu, mój ty bracie, dzieli się na chwytty pożyteczne i chwytty zdawkowe – rozprawia profesor, pociągając z kieliszka przepalankę. – Zasadniczy chwyt pożyteczny „Kiwa-Kava” polega na złamaniu kości strzałkowej oraz na nadwyreżeniu mięśnia. O parowaniu pomówimy później. Drugi chwyt pożyteczny „Yamana-Kaku” prowadzi do zwichnięcia stawu lewej kończyny dolnej.

Pietrek słucha z zapartym oddechem. Coraz większe robi postępy, w zachwyt wprawiając mistrza. Wszak tu o honor chodzi, o pozyskanie respektu Mańki.

Sposobność nawinęła się wkrótce. Szli właśnie pod rękę ulicą Freta, gdy jakiś nieważny przechodzień z lekka potrącił Mańkę. Powiedział „pardon” i zamierzał odejść, lecz Kalafonia osadził go na miejscu:

– Ej, jegomość, nie tak prędko!

– Daj spokój, Pietrek, nie rób grandy! – wołała Mańka.

– Odstaw się. Takie sprawy my, mężczyzny, regulujemy między sobą.

Nieznajomy stał bez ruchu, czekając na ciąg dalszy. Kalafonia, chcąc zaimponować ukochanej, zastosował piorunujący chwyt „Yaki-Gapa”. Lecz o dziwo, przeciwnik nie fajtnął przepisowego kozła, tylko cofnął się o krok i odparował atak chwytem „Oku-Mo-moya”. Narzeczony Mańki próbuje złamać opór ciosem „Walgo-Woko”, nieznajomy odpowiada nieoczekiwanym „Aya-Munato”.

Pietrka ogarnia desperacja. Po raz ostatni zdobywa się na pozytywne pchnięcie i pada na jezdnię jak długi.

Kłeska. Mańka wieje. Trąbi karetka pogotowia.

Nazajutrz wszystkie pisma zamieściły notatkę tej treści:

PRZYGODA INSTRUKTORA

Instruktor walki japońskiej p. Moto-Paka był zaczepiony wczoraj wieczorem przez znanego łobuza, Piotra Kalafonię.

Nietrudno zgadnąć, co z tego wynikło. Wezwany lekarz pogotowia przewiózł Kalafonię do Szpitala św. Rocha. Chirurdzy stwierdzili złamanie pięciu żeber oraz zwichnięcie prawej ręki w łokciu. Stan chorego nie budzi obaw o życie.

Gdy po miesiącu pacjent opuszczał mury szpitala, w portierni wręczono mu list:

„Bywaj zdruf Pietrek – pisała Mańka – już mnie nie zobaczysz i proszę cię nie nadochodź mnie w tej kwestii, bo nie chcę, żeby fszyscy się ze mnie się śmieli, że z taką ofertą się pentam”.

HULTAJ KOMAREK

Cóż to za hultaj z tego Komarka! Gdy przyjechałem przed czterema laty do Głodowic, pierwszą i ostatnią osobą, z którą miałem nieporozumienie, był oczywiście ten ponury człowiek, zakała i przekleństwo miasta. Wszystkim obywatelom dał się we znaki. Niańki straszyły nim dzieci, psy wyły na jego widok.

Można więc sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy na miesiąc przed wyborami ujrzałem rozklejone na wszystkich rogach ulic afisze:

Kacper Komarek
Kandydat Partii Radykalno-Zachowawczej
Obywatelki! Obywatele!
Głosujcie jak jeden mąż!
Wszyscy do urn wyborczych!

– Co? Komarek? I ten człowiek ma jeszcze czelność stawiać swoją kandydaturę na posta. Czyż nie zdaje sobie sprawy z reputacji, jaką sobie zaskarbił?

Była to myśl pierwsza, po której przemknęła mi przez głowę druga – jak się zdaje, w Głodowicach nie ma żadnego kontrkandydata. A gdyby tak zaryzykować i przeciwstawić się Komarkowi?

Po chwili byłem już u drukarza, a wychodząc, miałem w kieszeni kwit na obstalowane dziesięć tysięcy odezwo wyborczych, na których figurowałem jako bezpartyjny demokrat.

Komarek miał wrogów w każdym domu, w każdym mieszkaniu, mogę śmiało powiedzieć w każdym pokoju, na poddaszu, w suterenie. Głodowice liczyły około jedenastu tysięcy uprawnionych do głosowania. Miałem słuszną nadzieję, że choć mnie mało znano, jednak przy wyborach olbrzymia większość głosów padnie na moją kandydaturę.

Komarek, jak gdyby nie zdając sobie sprawy, że działa na własną szkodę, występował coraz bezczelniej.

Pewnego ranka, jadąc z nadmierną szybkością na motocyklu, wpadł na targowisko, rozbił kilka straganów, zdemolował koryto do pojenia koni, a jednej z przekupek złamał nogę. Nie dość na tym. Zamiast przeprosić zwymyślał okrutnie wszystkich świadków wypadku i zagroził podpaleniem targowiska.

Byłem zachwycony.

Do późnego wieczora grupy wyborców wystawały na rogach ulic.

– Co za nieszczęście taki człowiek dla naszego miasta – mówiono z oburzeniem – żeby choć co ukradł, to sędzia wsadziłby go do więzienia i byłoby spokojnie.

– Ach, kiedy my się go pozbędziemy! – wzdychały kobiety.

Jakkolwiek koniunktury układały się dla mnie nad wyraz pomyślnie, niczego nie zaniedbałem, byle pozyskać sympatię obywateli Głodowic. Ponieważ przez dziecko najłatwiej trafia się do serca matki, a przez matkę do ojca, zakupiłem na raty cztery tysiące perkalikowych chusteczek, które własnoręcznie rozdawałem dzieciom w szkołach podczas wręczania cenzur świątecznych. Matki miały łzy w oczach i wysławiały mnie pod niebiosami. Przed szkołami urządzano mi owacje. Gimnazjum męskie mianowało mnie profesorem honorowym.

Pomysł z chusteczkami był zaiste genialny i w ciągu jednego dnia uczynił mnie najpopularniejszą osobistością w Głodowicach.

Nowy nietakt Komarka.

Podczas przedstawienia amatorskiego w resursie człowiek ten wywołał niesłychany skandal. Mianowicie, będąc niezadowolony z gry artystów, ściągnął z nogi kamasz i rzucił go na scenę, trafiając w głowę pierwszego amanta.

Mego rywala poturbowano bardzo dotkliwie i wyrzucono za drzwi.

Do wyborów pozostało zaledwie kilka dni. Dotychczas zrobiłem bardzo wiele i ani na chwilę nie przerywałem agitacji. Wszędzie witano mnie z trudnym do opisania entuzjazmem.

Kilkuset osobom obiecałem, że po zostaniu posłem wyrobię im koncesje na hurtownie tytoniowe, restauracje i sklepy z trunkami. Kierownikowi Kasy Chorych przyrzekłem poparcie, aptekarzowi przysięgłem, że doprowadzę Kasę Chorych do upadku. Fabrykant marmolady miał obiecanie subsydium, robotnicy widzieli we mnie wroga kapitału. Jednym słowem zapewniłem sobie sympatię wszystkich obywateli.

W przeddzień wyborów wygrałem, jak mi się zdawało, wielki i ostateczny atut.

Komarek upił się, wpadł do lecznicy dla umysłowo chorych i powypuszczał na miasto pacjentów.

Całą noc trwała oblawa. W pocziwych Głodowicach nikt oka nie zmrużył.

Wyborcy stanęli przed urnami źli i zmęczeni. Co chwila padało przekleństwo, a nazwisko Komarka wymawiano ze wściekłością w głosie.

Ukazanie się moje przed biurem wyborczym wywołało istną burzę oklasków.

– Wiwat! Niech nam żyje! *Blajb gezynd!*¹ W górę go! – wołano ze wszech stron.

Stanąłem na wozie jakiegoś kmiotka i w gorącym przemówieniu przypomniałem wyborcom wszystkie krzywdy, jakich doznali od Komarka. Mowa moja doprowadziła ich do szału.

– Precz z Komarkiem! Hańba! Wyrzucić go z Głodowic! Precz! Precz!

Zaczęło się głosowanie. W sercu mym panowała radość.

Nazajutrz dowiedziałem się, że Komarek jest wybrany olbrzymią większością.

Otrzymałem tylko kilkanaście głosów, w tej liczbie był mój własny, głos mojej żony i kucharki Agaty.

Gdy zwróciłem się do niewdzięcznych wyborców z gorzkimi wymówkami, odpowiedzieli mi szczerze:

– Z pana jest zacny obywatel, a Komarka mamy już dość. Niech sobie jedzie na koniec świata. Przynajmniej przez kilka lat będziemy mieli spokój. Wszyscy doszliśmy do wniosku, że szkoda by było wypuszczać pana z Głodowic.

Wróciłem do domu smutny.

¹ Zdrowia! Niech żyje! – *jidysz*.

ASTRAL OLAFI BRIXA

I. Katastrofalny seans

Bończak zapadł w trans z wyjątkową łatwością. Czerwone światło żarówki pozwalało nam obserwować wszystkie jego ruchy, a nawet skurcze bolesne, wykrzywające rysy twarzy. Rzucił się na fotelu, jęczał, zgrzytał zębami. Po upływie kwadransa westchnął i znieruchomiał.

Nad głową medium zajaśniało nagle światełko. Krążyło chwilę jak błędny ogień na cementarzu, musnęło jedną z pań i rozpląnęło się w mgławicę. Mogliśmy zauważyć tworzenie się ektoplazmy. Z ust medium wypłynęła biała, galaretowa wstęga, ruchliwa i lśniąca. Nachyliwszy się, widziałem wyraźnie, jak drży, skłębina się, przelewa i fantastyczne przyjmuje kształty.

– Zgaście światło! – zawołał śpiący Bończak.

Zaledwie uczyniliśmy zadość życzeniu, w rogu pokoju rozległy się szelesty. Zupełnie jak gdyby ktoś pocierał suchy pęczek papierem szmerglowym. Coś błysnęło. Biały dymek uniósł się z podłogi i napełnił pokój wonią zbutwiałych tkanin. Coś zadzwiezczało. Czyżby to były ostrogi? Tak, dokoła nas zaczęła krążyć postać w ciężkich butach. Słyszeliśmy każdy krok zjawy, mogliśmy dostrzec jej sylwetkę na tle opuszczonej w oknie zasłony.

– Miałam dotyk. Szarpnął mnie za włosy! – oznajmiła sąsiadka.

Wkrótce sam poczułem silne uderzenie w plecy. Astral niczym nie różnił się od swych kolegów zza grobu. Trzymały go się psie figle. Zdjął mi krawat i zawiązał kuzynce Hali. Prezesowi ściągnął kamasz i rzucił na szafę. Żonę moją nastraszył, wpuszczając jej do stanika flakon z pulweryzátorem.

Niesmaczne te żarty spotkały się z protestem uczestników seansu. Damy zanuciły kantyczkę. Jest to wypróbowany sposób na uspokojenie duchów.

– Przedstaw się! – rozkazał przewodniczący.

Natarty siarczkiem barowym ekran uniósł się w powietrze, opisując świetlane smugi. Po chwili zawisł obok kuzynki.

– Czy widzisz co? – spytała żona.

– Tak, to ten sam z poprzedniego seansu. Poznają go po wąsach i kapeluszu. To rajtar szwedzki. No, dotknij mnie, dotknij, nie bój się, pocałuj.

Rozległo się cmoknięcie. Rajtar obchodził kolejno wszystkie osoby. Damy całował, panom ścisnął dłonie lub składał wojskowe ukłony. Nabrawszy śmiałości, zajął się przesuwaniem kanapy, poustawiał na niej kwiaty z doniczkami, wypuścił z klatki kanarka, ubrał greckiego filozofa z marmuru w melonik, pozwolił sobie na poufałość względem kuzynki i wreszcie, nie wiadomo w jakim celu, przeszedł do sypialni.

– Co on tam robi? – niepokoiła się żona.

– Łańcucha nie możemy zrywać – uprzedził przewodniczący.

Tymczasem niesforny astral, pobałamuciwszy nieco w pokoju sypialnym, przeszedł do jadalni. Usłyszeliśmy ciężkie stapania, przesuwanie krzesel, brzęk talerzy. Raptem rozległ się huk odkorkowywanej butelki.

– Olaboga! – zawołała żona. – On pewnie dobiera się do koniaku.

– Proszę nie opuszczać rąk – przypomniał kierownik.

W jadalni zadźwięczała taca z kieliszkami. Śpiący Bończak nie dawał znaku życia.

Wyłonienie się ektoplazmy jest dla organizmu medium zawsze niebezpieczne. Przerwanie snu w takich warunkach mogłoby pociągnąć za sobą nieobliczalne następstwa. Toteż każdy z nas ścisnął silnie ręce sąsiadów.

Raptem, za drzwiami, dał się słyszeć oburzony głos naszej służącej:

– A pójdziesz ty stąd, pokrako jakaś! – krzyczała Marysia.

W jadalni zadudniły kroki. Astral uciekł do pokoju sypialnego, następnie wybiegł na korytarz i zamknął się na klucz w łazience.

Wszystko to stało się tak szybko, iż nikt z nas nie zdążył zareagować. Zdyszana Marysia wpadła do gabinetu i przekreśliła wyłącznik lampy elektrycznej, wołając:

– Bo też skaranie boskie z temy duchamy!

Zajaśniały trzy lampy jednocześnie. W Bończaka jakby grom uderzył. Zerwał się z fotela, rozkrzyżował ręce i runął nieprzytomny.

W gronie naszym był lekarz. Jemu zawdzięczamy ocalenie Bończaka. Podskórne zastrzyki kamfory i naparstnicy, sztuczne oddychanie, eter, wreszcie kofeina – przywróciły słabnącemu sercu zdolność do pracy. Postanowiliśmy nie wtajemniczać chorego w to, co zaszło. Stało się jednak nieszczęście. Stracił całkowity zapas ektoplazmy, a wraz z nią – właściwości medialne. Kariera zwichnięta. Bądź tu mądry po takiej katastrofie.

Lekarz odwiózł Bończaka do mieszkania i wrócił. Siedzieliśmy przy stole. Rozmowa nie kleiła się jakoś. Każdy z nas zastanawiał się nad pytaniem, co też porabia rajtar zamknięty w łazience. Wyjść jednak nie może ze względu na jaskrawe światło. I w ogóle, co teraz począć z typem z tamtego świata? Czy trzymać go w ciemni i narażać się na bezustanne figle i psoty, czy też wypędzić go z domu? A wtedy, gdzie podzieje się nieszczęśliwy astral, w obcym kraju, nieobeznany ze współczesnymi stosunkami, ludźmi i językiem? Zakopać go na cmentarzu nie można, albowiem sprzeciwią się temu władze i żaden szanujący się przedsiębiorca nie urządzi takiego pogrzebu. Odesłać do Szwecji? Trzeba by w takim razie opakować go w czarny papier fotograficzny, zabezpieczający przed promieniami słońca. A co się stanie, jeżeli funkcjonariusze komory celnej rozwiną go na granicy?

Dręczące te pytania nasuwały się same przez się. Nie mówiliśmy o nich głośno, choć każdy przetrwał je w myśli. Jedno było pewne: astral ma dobry apetyt. Wypił pół butelki koniaku i zjadł kilka przygotowanych dla gości zakąsek.

Teraz się kąpał. Słysząc było szum bieżącej wody i pełne zachwyty pomruki. Gdy po kwadransie zajrzałem przez dziurkę od klucza, zdawało mi się, że widzę kontury widma otulonego prześcieradłem.

II. Denerwujący sublokator

Nadszedł świt. Na dachach kamienic zamigotały złote odblaski.

– Trzeba mu ułatwić przejście do komórki – zauważyła słusznie żona. – Zamkniemy go tam na cały dzień, a potem zobaczy się, co z tego wyniknie.

Wszyscy przyklasnęli. Jedna tylko Marysia, krewka i energiczna lwowianka, nie chciała się zgodzić.

– Ta jak wezmę miotłę, to temu batiarowi kości poprzetrącam – rzekła w najwyższym uniesieniu.

– Ależ, Marysiu, z umarłymi tak nie można – mitygowała ją żona.

– Ta jaki on tam umarlak, co się do wódki garnie i w łazience nieporządku robi.

Ostatecznie doszło do zgody. Marysia ustawiła w komórcie składane łóżko polowe, krzeselko, szafkę. Osobiście zaniósł tam mandolinę, duchy bowiem lubią wygrywać na wszelakich instrumentach. Poleciałem wykręcić białą żarówkę, a w zamian wstawiłem czerwoną. Kto wie, może nasz dziwny sublokator przyzwyczai się do światła.

Towarzystwo wyległo na korytarz. Ostrożnie zapukałem do łazienki. Zgrzytnął klucz, spoza uchylonych drzwi wyjrzała sroga twarz wojaka. Obrzucił nas nieufnym spojrzeniem, zabełkotał coś po szwedzku i szybko zamknął się na dwa spusty.

– Biedak, nie dowierza nam – westchnęła jedna z pań.

– Niech tylko słońce go podgrzeje, to sam wyniesie się z łazienki – zauważył prezes.

Przypuszczenie okazało się trafne. Rajtar uciekł przed światłem i ukrył się w komórcie. Zwyczajem duchów zaczął od przestawiania mebli, a uprzykrzywszy sobie to zajęcie, zajął się mandoliną.

Dopiero koło godziny ósmej rano udałem się na spoczynek. Była niedziela, więc mogłem odpocząć po ciężkich przejściach ubiegłej nocy. Wieczorem zjawily się niemal wszystkie osoby z seansu. Kuzynka Hala rzuciła myśl zastąpienia zwykłych lampek czerwonymi.

– Może przestanie się bać i przyjdzie – dodała.

Jednak rajtar nie opuścił komórki. W najlepszych stosunkach był, jak się zdaje, z Marysią. Dzielną dziewczyna zaniósł mu ćwiartkę baraniny i kufel piwa, za co połaskotał ją pod brodą.

Do stołu nie przyszedł i dnia następnego, choć zarzyły się tylko czerwone lampki. Mimo to można było wywnioskować z pewnych oznak, że przybysz z zaświatów stopniowo da się obłaskawić.

We środę Marysia rzekła do mej żony:

– Wi co pani, że ten rajtar nie jest taki zły, jak myślałam. Tylko za bardzo lubi wódkę. Podarował mi strusie pióro ze swego kapelusza. Można nawet rozmówić się z nim po ludzku. Jak ostatnią razą nosiłam mu jedzenie, to mnie złapał za rękę i zawołał: „Baba, daj wódki!”.

Zdziwiła nas ta wiadomość. Skądże widmo, i w dodatku widmo zagraniczne, może przemawiać w ten sposób do polskiej dziewczyny. Zwróciłem się w tej sprawie do prezesa naszego kółka. Oto, co mi odpowiedział:

– Duchy zachowują po śmierci pamięć przeżytych wypadków. Jeżeli rajtar zna język polski, musimy wywnioskować, że za życia odwiedzał Polskę. Poza tym uporczywe zjawianie się na seansach z Bończakiem nasuwa przypuszczenie, iż był pochowany gdzieś w pobliżu, może nawet w samej Warszawie. Tajemnicę zdołamy z czasem wyświecić. Trzeba tylko postarać się o to, aby nasz rajtar zbliżył się do ludzi, nabrał zaufania i zechciał wdawać się w gawędy. Jeżeli słabo włada językiem polskim, a nie ulega wątpliwości, że zna jedynie polszczyznę średniowieczną, należy mu kupić samouczek. Przyzwyczajajcie go do światła. Rubinowe szkło zamieńcie na koralowe. Po pewnym czasie

można będzie przejść do oranżu, używanego w pracowniach fotograficznych, a stąd już tylko krok do promieni żółtych. O dalszym ciągu pomyślimy na następnym zebraniu.

III. Obłaskawianie widma

Po upływie tygodnia rajtar po raz pierwszy opuścił komórkę. Stało się to w nocy, podczas snu domowników. Zakradł się do kredensu, wyłamał zamek i ściągnął butelkę araku.

Skutki tego nieetycznego postępu były fatalne. Pijany astral zaczął wyprawiać niesłychane brewerie. Wślizgnął się do kuchni, podszedł do łóżka Marysi i zrobił kilka seansowych dotyków. Rozgniewało to dziewczynę.

– Ta odstawże się – krzyknęła.

– Baba, baba, ty być moja baba... – powtarzał, ponawiając dotyki.

Ze względu na moralność, musiałem wmieszać się do dialogu. Na mój widok rajtar drapnął do kryjówki. Przez resztę nocy hałasował, brzdąkał na mandolinie, a nawet podśpiewywał ochoczo, nie licząc się z naszym snem ani nerwami.

Wyprowadziło mnie to z równowagi. Kazałem przenieść trunki do piwnicy i zapowiedziałem surowo w kuchni, aby mu pod żadnym pozorem nie dawno napojów wysokowych.

– On i do piwnicy trafi – zapewniła Marysia.

Na walnym zebraniu Towarzystwa zdałem relację z zaobserwowanych faktów. Słuchacze wyczuli w moim głosie gorycz.

– Jeżeli zajdzie potrzeba – oświadczył prezes – to uwolnimy pana od niemiłego sublokatora. Każdy z nas chętnie go przygarnie na z góry określony przeciąg czasu.

Do przenosin nie doszło. Dzięki taktowi mej małżonki astral stał się spokojniejszy, nabrał lepszych manier i przestał napastować Marysię. Kilkakrotnie zaglądał do jadalni oświetlonej czerwonym światłem, wysuwał spoza drzwi rękę, przyjmował potrawy, ale cofał się niezwłocznie do komórki. Chcąc go ośmielić, postawiłem pewnego razu butelkę wina na stole. To poskutkowało. Zjawił się, podszedł do nas i nieśmiało przemówił:

– Wódka, dobra wódka, daj wódka.

Nalałem mu szklaneczkę. Podając, uprzejmym ruchem wskazałem krzesło. Siadł i wysączył litr węgryzna do ostatniej kropli. Odtąd przychodził co wieczór. Był grzeczny. Do kredensu nie sięgał już więcej. Wkrótce przyzwyczailiśmy się do jego towarzystwa. Przyniosłem mu samouczek polsko-szwedzki Ollendorfa. Pracował gorliwie.

Dodać muszę, że był to okres dość ciężki, musieliśmy bowiem stale odpowiadać na głupie pytania w rodzaju: „Czy pani lubi gitarę? Kto zabrał materac dobrego teścia? Komu przyniosła różę Wilhelmina? Dlaczego Brunon ma dziś blade oblicze?”.

Konwersacja prowadzona metodycznie nie jest zajmująca. Starłem się wszcząć rozmowę na tematy ciekawsze. Częściowo dopiąłem celu. Rajtar podał się za Olafa Brixę, sierżanta gwardii królewskiej. Urodził się w roku 1601 w miasteczku Skienköping pod Upsalą. Brał udział w kampanii Gustawa Adolfa. Na pytanie – gdzie zginął i gdzie go pochowano, nie chciał odpowiedzieć. Domyśliłem się, iż poruszanie tego tematu jest dlań przykre.

Muszę jeszcze wspomnieć mimochodem o kilku zabawnych epizodach. Gdy po raz pierwszy w obecności Olafa zapalałem cygaro, przestraszył się zapalek i drapnął do swego pokoiku. Jak się zdaje, nie przeraziło go białe światło, lecz trzask i wybuch. Stopniowo oswoił się z zapalkami. Co do cygar i papierosów, to bardzo szybko w nich zagustował i, jak się o tym kilkakrotnie przekonałem, dobierał się bez ceremonii do moich zapasów.

Dużo mieliśmy uciechy z dzwonkiem elektrycznym i telefonem. Olaf czuł lęk przed tymi przedmiotami. Uważał je za wynalazek diabła. Bał się też maszyny do pisania i wentylatora.

Ofiarowałem mu pantofle. Ciężkimi buciskami z palonej skóry tupał niemiłosiernie i rysował posadzkę. Ale ostróg pozbyć się nie chciał. Przyczepił je do pantofli.

Ciekawe wyniki dały oględziny lekarskie. Olafa zbadał doktor medycyny, członek naszego Towarzystwa. Przekonał się, że dobrze zmaterializowane ciało astralne niczym nie różni się od zwykłego. Lekarz stwierdził normalne ciśnienie krwi, puls około siedemdziesiąt sześć, serce zdrowe, bez szmerów, głęboki i równy oddech. Jedyne wrażliwość na białe światło wciąż jeszcze była wysoka.

– Jest to wada możliwa do usunięcia – oznajmił doktor. – Zwróćcie państwo uwagę, iż nawet przy żółtym, z lekka przyćmionym oświetleniu osobnik ten ma rozszerzone źrenice. W szczególności tym dopatruję się właśnie nadmiernej wrażliwości. Być może, pilokarpina poskutkuje. Radziłbym też zaopatrzyć pacjenta w ciemne okulary.

– Czy próbę można wykonać zaraz? – zagadnąłem.

– Rozumie się.

– W takim razie proszę o receptę.

Marysia pobiegła do apteki, następnie do magazynu optycznego. Założyliśmy Olafovi wielkie amerykańskie okulary w rogowej oprawie. Zapaliłem białą żarówkę.

W pierwszej chwili chciał uciec, a gdy go powstrzymałem, złapał z otomany haftowaną poduszkę i zasłonił sobie twarz przed światłem.

– Na pierwszy raz wystarczy – rzekł lekarz, spoglądając na zegarek. – Radzę wystawiać go codziennie na działanie promieni lampy, zwiększając czas o parę minut. Powinien przyzwyczać się wkrótce.

Podczas dalszej gawędy, zagadnąłem przyjaciół o Bończaka. Nieszczęsne medium, istota godna pożałowania, po rozstaniu się z ektoplazmą stracił własności medialne. Stał się wykolejencem, niezdolnym do pracy.

– Ha, trudno – rzekła Hala – trzeba będzie zaopiekować się nieborakiem. Na ogólnym zebraniu Towarzystwa poruszę tę sprawę. W najgorszym razie nauczymy go astrologii. Stawiając horoskopy, zarobi sobie porządnie na kawałek chleba.

– Wątpię, czy potrafi – wtrącił doktor. – Wolałbym mu kupić katarynkę z morskimi świnkami i niech sobie chadza po podwórkach.

Stanoło na tym, że bądź co bądź Towarzystwo zaopiekuje się podupadłym medium.

IV. Niezbędne formalności

Wiść o nowym mieszkańcu rozeszła się z czasem w kamienicy. Z bramy przedostała się na miasto, dotarła nawet do komisariatu policji. Pewnego dnia odwiedził mnie dzielnicowy i w grzecznej, lecz stanowczej formie zażądał wyjaśnień.

– Krążą pogłoski – oświadczył – że w mieszkaniu państwa ukrywa się cudzoziemiec, niemający prawa pobytu. Mam rozkaz poddania go przesłuchaniu.

Przykra formalność trwała około kwadransa. W rezultacie policjant nic nie zrozumiał, w rubryce „Uwagi” wpisał „Chory umysłowo” i wyszedł, zapowiadawszy następną wizytę za tydzień.

Trudniejsza była sprawa z dozorcą domowym. Jegomość ten rozgniewał się nie na żarty.

– Jakże tak można! – mówił. – To mnie bez to ciągną po komisariatach i pewnie karę naznaczą, a państwo nic o meldowaniu słyszeć nie chcecie!

Minęło parę dni i raptem spadła nowa klęska. Odwiedził nas sekretarz konsulatu szwedzkiego. Z wyszukaną grzecznością, starannie dobierając słowa, zagadnął, czy prawdą jest, jakoby w mieszkaniu naszym ukrywał się dezerters Armii Królewskiej.

– Zastrzegam się – dodał – iż szczerą odpowiedź ze strony szanownego pana nie połączę za sobą przykrych konsekwencji. Zmuszać dezertera do powrotu nie mamy zamiaru. Chcielibyśmy jedynie wiedzieć, co go skłoniło do opuszczenia wojska.

Interwencja konsulatu tak mnie zaskoczyła, że w pierwszej chwili oniemiałem. Z opresji wyratowała mnie żona.

– Proszę – rzekła. – Człowiek ten jest chory na oczy. Nie wolno mu wychodzić na światło dzienne.

Z tymi słowy wprowadziła sekretarza do komórki. Olaf spał na składanym łóżku, z rękami podsunętymi pod głowę. Czarne okulary zasłaniały mu oczy. Był z lekka rozneglizowany. Zresztą w mdłym świetle oranżowej lampki niewiele można było dostrzec, dzięki czemu sekretarz nie zauważył spodni rajtarskich i pasa z torbą na pistolety.

– Czy mam przysłać lekarza? – zagadnął.

– Zapewniam pana, że chory ma troskliwą opiekę – odpowiedziała żona.

Pożegnawszy nas uprzejmie, sekretarz poprosił, by go zawiadamiać telefonicznie o postępach kuracji, zanotował nazwisko Olafa i wyszedł.

– Trzeba jednak coś z tym zrobić – zawołała żona. – Podobne wizyty będą coraz częstsze i ostatecznie może wyniknąć heca.

– Więc co zamierzasz uczynić?

– Przede wszystkim musimy Olafa przebrać w marynarkowe ubranie, następnie wtajemniczymy konsula szwedzkiego w istotny stan rzeczy, wreszcie pomyślimy o innych formalnościach, takich jak wyrobienie obywatelstwa polskiego, uregulowanie stosunku do wojskowości i tak dalej.

Żona miała słuszość.

Wezwany krawiec zdziwił się nieco na widok klienta.

– Więc to tego pana mam ubrać po cywilnemu? – zagadnął, wyjmując miarkę i notes.

Stwierdziliśmy z przyjemnością, iż Olaf nie jest pozbawiony kokieterii. Osobiście przejrzał albumy i wybrał sobie kostium sportowy z jasnego sukna. O długich spodniach nie chciał słyszeć, dowodząc, że w Szwecji nikt takiej mody nie zna. Poza tym prosił o kołnierz koronkowy i koronkowe mankiety. Zachcianki tej krawiec nie spełnił, bo tworzyła kontrast z pojęciami o męskiej elegancji.

Olaf, przebrawszy się w nowy garnitur, podciął sobie wąsy na sposób angielski oraz zgolił bródkę. Podarowałem mu maszynkę „Gillette”, pędzelek, miseczkę, kawałek ałunu i mydło. Bardzo był uszczęśliwiony.

Początkowo golił się dwa razy dziennie. W ogóle dbał o swą toaletę, stale korzystał z prysznicu, a włosy namaszczał tłuszczem. Dziwiło mnie, skąd bierze się tyle kokieterii u zmaterializowanego ducha. Dopiero żona wytłumaczyła mi, jak sprawy stoją.

V. Olaf zakochany

– Że też ty nic nie widzisz, co się dokoła ciebie dzieje – rzekła z wyrzutem. – Olaf jest zakochany w Marysi.

– A Marysia?

– W Olafie!

– Nie, to już ludzkie wyobrażenie przechodzi – krzyknąłem oburzony. – Kobieto, czyś ty pomyślała, jakie z tego mogą być skutki? Olaf ma obecnie, licząc pobieżnie, przeszło trzysta lat. Odrzucając rażącą różnicę wieku, jest to w gruncie rzeczy nieboszczyk!

– I co ja na to poradzę – smutnie westchnęła żona. – O ile wiem, sprawy zaszły tak daleko, że wkrótce trzeba będzie pomyśleć o ślubie. Olaf ma dobry, prosty charakter. Jeżeli ożeni się z Marysią, zrobimy go naszym szoferem. Wszak nie zarzuciłeś myśli kupienia samochodu na raty?

Konferencja z Marysią potwierdziła tylko domysły żony, wobec czego przyśpieszyłem edukację Olafa. Ponieważ zupełnie nieźle znosił już białe światło (oczywiście dzięki okularom), wyszedłem z nim pewnego wieczoru na przechadzkę.

Drżał na widok tramwajów i kurczowo ścisnął mnie za ramię. Samochody napełniały go również nieopisanym lękiem. Zaglądał pod koła, usiłując znaleźć rozwiązanie zagadki. Rowerzyści wprawiali go w zachwyt. Zatrzymywał się przed wystawami, wypytując mnie o przeznaczenie przedmiotów, o których nie miał pojęcia. Ale najbardziej zainteresowały go automaty z czekoladą. Dałem mu kilka drobnych monet, by zaspokoił ciekawość.

W drodze powrotnej zaszedł mały incydent. Olaf przestraszył się pędzącego z hukiem motocykla i, ku radości przechodniów, wdrapał się na latarnię. Odwiozłem go do domu konną dorożką. Wskutek nadmiaru wrażeń dostał gorączki i długo nie mógł zasnąć.

Nazajutrz wyraził gotowość udania się na miasto. Marysia wzięła go do kina. Jej też zawdzięcza szybkie załatwienie formalności meldunkowych. Dzięki stosunkom z żoną posterunkowego wyrobiła mu w komisariacie kartę pobytu.

Wycieczki zakochanej pary na miasto stawały się coraz częstsze. Olaf doskonale już władał językiem polskim, nauczył się też gwary warszawskiej, odwiedzając zabawy w lunaparku. Pewnego razu udał się z Marysią do renomowanej sali tańca w Mokotowie, gdzie dobrze sobie podpił. Wycieczka ta zakończyła się małym skandalem.

Podobno któryś z tancerzy zbyt jaskrawo nadskakiwał Marysi. Olafa to zabolalo. Poturbował rywala i trzech jego przyjaciół. Opisano go wprawdzie w protokole, ale na sali tańca zdobył sobie ogólny respekt i stał się swoim człowiekiem. Stopniowo nawiązał znajomości. Był na jakimś weselu, trzymał do chrztu bliźniaki i czuł się coraz lepiej. Zarzucił też noszenie okularów.

Na życzenie małżonki zapisałem go do szkoły samochodowej. Okazał się zdolnym słuchaczem. Po miesiącu zdał wszystkie egzaminy i wyrobił sobie prawo jazdy.

Zbliżał się dzień ślubu. Marysia dostała wyprawę.

Kazałem zamurować wejście do komórki, w zamian przebiłem drzwi do pokoiku służbowego. W ten sposób młodzi małżonkowie objęli w posiadanie kuchnię i mały apartamencik.

Przed ślubem Olaf złożył wizytę konsulowi szwedzkiemu. Następnie wniósł prośbę do polskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o przyznanie mu obywatelstwa.

VI. Olaf na przeszkoleniu

W sześć tygodni po ślubie Marysia przyjechała na pewien czas do kliniki przy ulicy Karowej. Wzruszony Olaf odwiedzał ją codziennie, zanosił rosół z kury i kwiatki, po które urządzał tajemnicze wyprawy do parków miejskich. Pewnego razu przyłapali go stróże, a policja skazała administracyjnie na zapłacenie piętnastu złotych kary. Sumę tę z zimną krwią wytrąciłem mu z pensji szoferskiej.

Pewnego wieczoru wrócił uradowany. Oznajmił nam, że ma córkę. Dziecko było niezbyt krzykliwe i bardzo miłe. Hala zgodziła się trzymać je do chrztu.

Radosna ta uroczystość miała przebieg nadszpiewanie spokojny. Olaf okazał daleko posuniętą wstrzeźliwość. Jedyne harmonistę zrzucił ze schodów, ponieważ muzyk ten fałszował.

Ministerstwo uwzględniło prośbę. Olaf stał się obywatelem polskim. Wtedy dopiero podpisał z Marysią akt złączenia.

Przyznanie obywatelstwa pociągnęło za sobą inne, bardziej kłopotliwe formalności. Powiatowa Komenda Uzuppełnień zapytała Olafa o stosunek do służby wojskowej. Przyszedł do mnie bardzo zmieszany, nie wiedząc, co robić.

- Może masz jakie dowody? – zagadnąłem.
- Owszem, mam w starej kurcie papiery wojskowe.
- Pokaż je. Spróbujemy przetłumaczyć.

Były to istotnie bardzo stare dokumenty, wykaligrafowane starannie na grubym papierze czerpanym. Odniosłem je do rejenta. Nazajutrz przysłał mi przekład z urzędową pieczęcią. Początek jednego ze świadectw brzmiał: „W imieniu miłościwie nam panującego Króla Gustawa Adolfa...”. Dalej następowały personalia: imię i nazwisko, imiona rodziców, miejsce i data urodzenia, przydział służbowy, krótkie *curriculum vitae*. Dowiedziałem się, że Olaf wstąpił do wojska mając lat osiemnaście, odznaczał się odwagą, sumiennością oraz pociągami do alkoholu. Karany był dwukrotnie odwachem za awantury w stanie nietrzeźwym. Walczył przeciw Rosji, zdobył liczne odznaki, następnie był przeniesiony z pułkiem do Polski. Umarł na cholera w Warszawie.

- Co na to wszystko powiesz? – zapytałem żony.
- Mój kochany – odrzekła po namyśle – przykrzejszy to ten wypadek z cholera. Na szczęście wiele lat minęło od tej strasznej choroby. Możemy zupełnie być spokojni, nie lękając się recydywy. Olaf jest zdrow, co zresztą stwierdził lekarz w naszej obecności.
- A co myślisz o awanturach w stanie nietrzeźwym?
- I pod tym względem mu ufam. Był na wojnie, siedział całymi miesiącami w okopach o głodzie i chłódzie, czyż można się dziwić, jeżeli sobie czasami pozwolił? Bogu dzięki, wojny nie ma na świecie, a przecież i tobie zdarzyło się pewnego razu...

Przerwałem rozmowę, ponieważ zaczęła przybierać charakter wycieczek osobistych. Zresztą nie mogłem Olafowi zarzucić nic złego. Dbał o samochód, wiercił kierownicą bardzo zręcznie, odzwyczyił się też od niepotrzebnego trąbienia na wiwat, w czym celował w początkach kariery szoferskiej.

Zupełnie nieoczekiwanie zabrano go do wojska na trzymiesięczne przeszkolenie. Stało się to po wizycie kaprała z PKU, który przejrzał najważniejsze świadectwa Olafa, porobił notatki i wręczył mu rozkaz stawienia się do koszar. Odchodząc, zauważył z niesmakiem:

– I to ma być rejent? Niby taki uczony człowiek, a zwykłej daty przepisać nie potrafi.

Z tymi słowy dobył z kieszeni ołówek chemiczny, poślinił i przerobił rok 1601 na 1901.

W ten sposób Olaf stał się normalnym człowiekiem.

Przydzielono go do pułku strzelców konnych, przy czym stopień uzyskany w Szwecji komisja uznała za ważny.

Wiedziony ciekawością, udałem się pewnego ranka do kancelarii pułkowej. Powitał mnie znajomy rotmistrz. Zagadnąłem go o Olafa.

– Aha, ten sierżant na przeszkoleniu? Pan pojęcia nie ma – odpowiedział – co my namordujemy się z tym osłem. Na koniu trzyma się znakomicie, szablą włada bez zarzutu, ale o strzelaniu nie ma pojęcia.

– Czyżby?

– Ależ tak. Wyobraź pan sobie, początkowo chciał nabijać karabin przez lufę!

– Przez lufę?

– Nie dość na tym. Uparł się i usiłował w nas wmówić, że w armii szwedzkiej nie tylko karabiny, ale i armaty tak są nabijane. Pomijając te dziwactwa, jest to dobry żołnierz i prawdopodobnie dostanie niezłe świadectwo.

Minęły trzy miesiące. Olaf powrócił z wojska rumiany, jędrny i wesół. Z niebywałym zapałem zajął się żoną, córką i limuzyną.

Już z górą dwa lata zamieszkuje pod moim dachem, a tylko raz jeden miał wypadek. Na placu Teatralnym, u wylotu ulicy Wierzbowej, przejechał nieuważnego przechodnia. Naoczni świadkowie zeznali, iż szofer nic nie był winien. Zwolniono go więc od wszelkiej odpowiedzialności.

Nazajutrz dowiedziałem się z dzienników, że pod kołami samochodu poniósł śmierć Teofil Bończak, eksmedium wszechświatowej sławy.

MAZURKIEWICZ

Kim jest, gdzie mieszka, czym się zajmuje, do jakiego zdąża celu? – dotychczas nie stwierdziłem. Tajemniczy ten człowiek zniszczył mą równowagę duchową, doprowadził mnie do najwyższego stopnia zdenerwowania, podkopał wiarę w logikę wypadków.

Spotkałem go dnia 16 czerwca br. w pociągu pośpiesznym Katowice–Warszawa. Wagon był prawie pusty. Nieznajomy przewertował dzienniki, ziewnął i rzucił od niechcienia:

– Co za nudy! Ani jednej zbrodni. Stanowczo Polska staje się krajem pod każdym względem bezbarwnym. A nie tak dawno kronika policyjna obfitowała w krwawe wypadki.

– Czy pan lubuje się w przestępstwach kryminalnych?

– Nie, panie, przestępstwo kryminalne to błaźnina. Ja szukam głębszej emocji – zbrodni bez logicznego uzasadnienia, zbrodni dla zbrodni, szczerzej i bezinteresownej.

Milczał chwilę, patrząc mi w oczy.

Czułem się nieswojo.

– Czy pan pamięta mord przy ulicy Św. Barbary? – zagadnął zniechęca.

– Nie.

– Jak już wspominałem – zaczął opowiadanie – zbrodnia wtedy tylko daje zadowolenie, o ile jest bezinteresowna. Jednocześnie muszę zaznaczyć, że prawdziwy miłośnik nigdy nie skala się krwią niewinnych ofiar i tak przeprowadzi intrygę, aby nań nie padło podejrzenie.

W domu nr 8A przy ul. Św. Barbary mieścił się do niedawna handel win. Właścicielem tego przedsiębiorstwa był zacny staruszek, śp. Oskar Szmit, obecnie spoczywający w grobie. Miał dwie przystojne córki, Marię i Klementynę, z którymi pracował w sklepie.

Powodziło mu się dobrze. Z każdego kąta magazynu wзираł dostatek, twarz staruszka jaśniała szczęściem, spokojem i pewnością jutra. Córeczki miały narzeczonych. Maria liczyła dni dzielące ją od ślubu, który niezwłocznie miał nastąpić po zdaniu egzaminów przez jej ukochanego, słuchacza medycyny. Klementyna szyła już wyprawę.

To rzucające się w oczy szczęście nie dawało mi spokoju. Postanowiłem je zniszczyć, a jeżeli się uda – poprowadzić intrygę tak daleko, by w cichym sklepie przy ul. Św. Barbary połała się krew, by ojciec wraz z córkami zasiadł na ławie oskarżonych.

Powziąwszy tę decyzję, niezwłocznie zabrałem się do wykonania genialnie prostego planu.

Muszę tu zaznaczyć, bez przechwałek, że jestem dobrym znawcą charakterów ludzkich. Postanowiłem skierować uwagę złotej młodzieży na Marię i Klementynę, istoty niewinne, świeże, pełne wdzięku.

– Czy wiecie – odezwałem się do mych partnerów w klubie – czy wiecie, co to za numery te dwie blondynki z handlu win w sąsiednim domu?

– A, panny Szmit?

– Tak, te same. Jeżeli który z was ma ochotę przekonać się do jakiego stopnia posunęło się zepsucie wielkomięskie, niech tam zajdzie i powie hasło, bez którego wstęp do górnych salonów jest wzbroniony.

Wiedziałem dobrze, jaki będzie efekt. Moi partnerzy zaczęli nalegać, bym ich bliżej wtajemniczył w życie prywatne Marii i Klementyny. Zgodziłem się po krótkim oporze. Zanotowali hasło, które miało brzmieć: „Przychodzę od pana Mazurkiewicza!”.

Tylko tyle. Słowa niewiele znaczące, a jednak brzemiennie w skutki. Mazurkiewiczów w Warszawie jest bez liku, żadnego z nich nie miałem na myśli, byłem mimo to spokojny, że rozumowanie moje doprowadzi do katastrofy.

Jak było do przewidzenia, członkowie klubu podzielili się wiadomością ze swymi przyjaciółmi, ci znów nie omieszkali puścić plotki na szerokie wody.

Nazajutrz rano do handlu win zgłosił się jeden z moich serdecznych druhów – nawiasem mówiąc skończony osioł – podszedł do panien i przemówił, filuternie mrugając okiem:

– Przychodzę od pana Mazurkiewicza!

Słowa te nie wywarły żadnego wrażenia.

– Którego pana Mazurkiewicza?

Ponieważ klient nie umiał dać bliższych wyjaśnień, stary kupiec spojrział nań jak na wariata i wzruszył ramionami.

Drugi gość był równie chłodno przyjęty, ale trzeci – wywołał konsternację.

– W tym coś jest – odezwał się ojciec do córeczek – strzeżcie się, moje kochane, a ty Klementyno nie odchodź od kasy.

Gdy o godzinie jedenastej rano zjawił się ósmy wysłannik Mazurkiewicza, panny poczuły na plecach ciarki, a Oskar Szmít wyskoczył zza lady sklepowej i, wrzeszcząc wściekle, wypchnął interesanta za drzwi.

Wieczorem rozeszły się w dzielnicy pogłoski, jakoby właściciel sklepu zwariował, co oczywiście zwiększyło tylko ogólne zainteresowanie.

Nazajutrz rozegrała się gwałtowna scena. Szmít poturbował pewnego klienta, a córki wezwały policję. O zajściu spisano protokół, z którego nic nie można było zrozumieć.

Urząd Śledczy, zaalarmowany prośbami przerażonego kupca, delegował dwu funkcjonariuszów policji przebranych w szaty cywilne. Dzielni ci detektywi zjawili się dla niepoznaki w brązowych kamaszach, szarych garniturach i pomiętoszonych cylindrach.

Teraz byłem już najpewniejszy, że lada chwila nastąpi kulminacyjny epizod. Z bijącym sercem udałem się na obiad do klubu.

W handlu win rozgrywały się co chwila bójki z udziałem całego personelu. Spisywano protokół po protokole. Stary kupiec miał twarz pokrytą guzami, podsiniaczone oczy i poszarpany kołnierzyk.

To, co musiało się zdarzyć, minęło szybko i niemal niepostrzeżenie. O piątej po południu wszedł do sklepu autentyczny Mazurkiewicz, przedsiębiorca przewozowy z placu Napoleona.

– Przepraszam – odezwał się nieśmiało – o jakiego to Mazurkiewicza państwu chodzi?

– A bo co? – zagadnął Szmít jednocześnie z córkami.

– Bo ja właśnie jestem Mazurkiewicz i chciałbym...

Nie skończył zdania, spadł mu bowiem na głowę ciężki gąsiorek śliwowicy.

Mazurkiewicz runął jak długi, a Szmít jął grzmocić. Kopał, gryzł, tarmosił. Klementyna rzuciła się na gościa z nożyczkami, a Maria oblała go spirytusem i podpaliła.

Nieszczęsny Mazurkiewicz wyzionął ducha w okropnych męczarniach.

W Warszawskim Sądzie Okręgowym skazano Oskara Szmita na dożywotnie więzienie. Umarł w tydzień po rozprawie sądowej. Córki zamknięto w zakładzie dla obłąkanych, sklep sprzedano w drodze publicznego przetargu.

– Oto historia mordu przy ulicy Św. Barbary. Co pan na to powie? – zakończył nieznamy.

Byłem tak przejęty, iż przez kilka minut słowa wymówić nie mogłem. Wreszcie wyjąkałem:

– Z pana jest skończony łajdak!

– Wiem o tym – odpowiedział – wszyscy mi to powtarzają. Ale już muszę pana pożegnać, bo oto moja stacja.

I wyszedł z wagonu, wlokąc za sobą walizkę.

Po przyjeździe do Warszawy, wsiałem natychmiast do taksówki i kazałem się zawieźć na ulicę Św. Barbary. Ku memu zdumieniu okazało się, że dom nr 8A nie istnieje. Dotychczas nie rozumiem, po co ten człowiek opowiadał mi zmyśloną historię o strasznym mordzie. Może jest obłąkany, a może chciał ze mnie zrobić wariata? Wciąż o tym myślę i do żadnego wniosku dojść nie mogę.

Sprawozdanie nie byłoby kompletne, gdybym pominął pewien drobny szczegół.

Wysiadając z pociągu, mój rozmówca zabrał przez roztargnienie cudzą walizkę. Walizka ta należała do mnie, ale tak byłem wstrząśnięty opowiadaniem, że zauważyłem jej brak dopiero nazajutrz.

SPIS RZECZY

Większa z kropelkami	3
Czarny portier	5
Komendant Mukri-Pasza	8
Garden Party	12
Straszna noc	14
Spowiedź podpalacza	17
Pięter Sluyt i dwaj jego mistrze	19
Radosna rezygnacja	22
Zemsta na tle historycznym	25
Recenzja z premiery	27
Wielki dzień pogromcy tygrysów	29
Bankiet dorożkarzy	32
Bankiet kolombofilów	34
Prawda o starym rozpustniku	36
Wychowanie fizyczne	38
Hultaj Komarek	40
Astral Olafa Brixa	42
Mazurkiewicz	51